

KUŹNICA

W NUMERZE:
A. SCHAFF
R. MATUSZEWSKI
T. BOROWSKI
K. BRANDYS
J. BIAŁOSTOCKI

Cena 25 zł - 8 stron

Warszawa, 12 czerwca 1949 r.

Nr 23 (195) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

O dzisiejszym znaczeniu związków zawodowych stanowi to, że klasa robotnicza sprawuje dzisiaj władzę polityczną w państwie, że jest ona dzisiaj rzeczywistym gospodarzem najbardziej podstawowych dziedzin naszej gospodarki ogólnonarodowej.

BOLESŁAW BIERUT

MIECZYŚLAW JASTRUN

PRZYPOWIEŚĆ O OWOCACH

Od pustyni śnieżnych do Taurydy
Kwitających gałęzi, na ogromnych
Polach gdzie rodzą się hybrydy,
Gdzie gwiazda błyska w nowych formach
Już dla przyszłości, co przebywa
W oczach mieszkańców, w sadów ciszy,
Za ręką prowadzomą, tkliwa,
Jak dziecko matce towarzyszy:

Owoc z owocem skrzyżowany,
Kłosa, co w dwójnasób rodzi światu,
W powietrzu jest narysowany
Z izoterm dłoni i klimatu.
A słodkie drzewo wiadomości
Jak wielbłąd wyjdzie z przepowieści,
Zatrzęsł gławem winorośli,
Słodczyca nawet cień wypięści.

W mroźnej Syberii, na Uralu,
Jabłoń krzaczasta śnieg przebijając,
I winogrody na Altaju
Wiłą niejadliwą żmije.
I nowy owoc, grusza-Bera,
Która jest córką ussuryjskiej
I Bery-royal, sokiem wzbiera.
Spod śniegu szczerp wypuszcza listki.

Człowiek nie czeka łask natury,
Lecz od niej bierze je przemocą,
Ogrodnik zbuntowany, który
Ujrzał swój pierwszy gniew w owocu —
I jak zapasnik, kiedy wstaje
Z ziemi i z gwiazdą bój zaczyna,
Skrzyżował w blasku szpad rodzaje,
Dal im nazwisko Miczurina.

Wypowie wojnę wojnie, nowy
Wychowa lud na ziemi wielkiej,
Jak żywi wszelki owoc zdrowy
Parzysta pierśnią karmicielki,
Nadchodzi dzień, przed którym ślepną
Zwykające w dwie noce — oczy.
Ty jedna wiesz jak krwali piękno,
Gdy się o dobro bitwa toczy:

Ty, która jesteś czysta, mądra,
Ty, co mnie znalazła, jak znasz miłość,
Ty, co odjęłaś miśmół żądla
Zatrute, ty, co ze mną byłaś
Od pustyni śnieżnych do Taurydy
Kwitających gałęzi, na ogromnych
Polach gdzie rodzą się hybrydy,
Gdzie gwiazda błyska w nowych formach.

H Y M N

Wznosił piramidy dla pustyni tyranów,
Zbudował okręty dla lotnych płaszków złota,
Postawił katedry, by w nich mieszkało powietrze.

Był trwalszy od pustyni, co pili krew jego,
Gniew jego trwożył bankierów i władców,
Gniew jego obrażał aniołów i Stwórcę.

Prawdziwy władca świata,
Prawdziwy stwórca obfitości świata,
Prawdziwy budowniczy świata.

Twarz jego pokryta kurzem wieków,
Twarz jego poryta niedolą wieków
Twarz jego otwarta dla nowych wieków.

On przywraca wiare w ziemię i w gwiazdy,
On mówi nawet gniewem, że człowiek jest dobry,
On godzi ramię lewe z ramieniem prawym.

Czarny od podziemnej nocy
Wydobywa metale i węgiel,
Czarny od wczorajszej nocy
Obejmuje młodą jutrzankę.

PŁATEK ŚNIEGU

Płatek śniegu to gwiazdka,
Gwiazdka śniegu to iskra zimy.

Ujrzałem w gwiazdce śniegu
Biel dziecinnego pokoju,
Golebia, list, główkę cukru,
Dziewczynę, która mnie nie kochała.
Ujrzałem kraj, którym wędrowałem niedgdyś,
Wieczór, wierzby w porządku zadymki,
Gdy nappół zmarnięty w pustkowi,
Uratowany przez obcych ludzi,
Przywrócony do życia
Szkłanką gorącego mleka,
Niechętnie wróciłem do życia,
Gdyż umarłem z miłości.

Płatek śniegu to gwiazdka,
Gwiazdka śniegu to iskra zimy.

Gwiazdko, co szybko tajesz w mojej dłoni,
Iskro, co gaśnieysz szybciej od mojego serca.

TEMU, CO ZACZAŁ OPOWIADAĆ BAJKĘ

Temu, co zaczął opowiadać bajkę
O mądrej i szczęśliwej ludzkości,
Przerwał opowiadanie — wybuch powietrznego wulkanu,
Co wyrwał z żelaznego ziarna, rzucanego przez lotnika,
Płanią olbrzymią nad miastem, które w tej samej chwili
Stało się po żarach, jak wczoraj Hiroszima.

Ale po wieku jednym lub może po wiekach
Ktoś przypomniał starą powieść, przerwaną niedgdyś
Temu, co zaczął opowiadać bajkę,
A on dokończył starą powieść, przerwaną niedgdyś,
I sam zdumiał się, że końca nie zapomniał.

Był to wiek, w którym przedłużano życie
Latwo, tak łatwo, jak dziś odbiera się życie,
Był to wiek, który dzisiaj ledwie przeczuwamy
W płatkach śniegu zawstydzonych jutrzankę, w płatkach jabłoni.

JAN KOTT

Konflikty socjalistyczne

DYGRESJA HISTORYCZNA

W ROKU 1890, kiedy załamywał się gwałtowny okres krytycznego realizmu w twórczości pozytywistów, Aleksander Świętochowski tak w „Prawdzie” krytykował „Lalkę” Prusa: „Balzac uprawdopodobniłby Wokulskiego całą masą wiedzy kupieckiej, wtajemniczyłby nas w księgi i obroty handlowe, nadałby jego przedsięwzięciu doniosłe znaczenie ekonomiczne; Prus manipuluje tylko wyrazem — Spółka dla Handlu z Cesarstwem, wystawia jej niecierpliwym uczestnikom świadectwo głupoty, a czytelnikom każe wierzyć, że jej twórca przełaził nią ogromny rozum”.

Podobnie, ale ostrzej i z wyraźniejszą pozycją ideową, zaatakował „Lalkę” w tym samym roku Józef Kotarbiński w „Tygodniku Ilustrowanym”. Raziła go postać moskiewskiego kupca Suzina, oburzała kariera handlowa Wokulskiego, prowadząca go przez spekulacje na wojnie bułgarskiej do międzynarodowego handlu bronią. Zaował, że Prus nie poprzestął na dziejach sklepu i nie chronił go przed Zydami. Wszystko to w imię prawdopodobieństwa, wierności dla prawdy i balzackowskiego wzoru.

Niech nas ten Balzac nie zmyli. Był to Balzac dla ubogich. Wielki Balzac — historyk społeczeństwa — nie był jeszcze odczytany. Kiedy ten spór sprzed sześćdziesięciu lat przelożymy na współczesny język krytyki, odnajdziemy w nim wolanie o małe realia przeciwko historycznej konstrukcji losu ludzkiego. Dwie sceny z Suzinem, spółka z arystokracją, Bułgaria i Paryż Wokulskiego były jednym z najważniejszych osiągnięć wielkiego realizmu w „Lalce”, odsłonięciem gospodarczej podszewki pracy organicznej i pierwszych znamion imperializmu. Z doświadczeń warszawskich redakcji Prus nie mógł znać realiołów, małych realiołów wielkiego procesu historycznego. Zawiodł go surowiec, nie zawiodł zmysł historyczny.

Ale w tej dyskusji o „Lalce” nie szło jedynie o samą powieść. Świętochowski i Kotarbiński żądali od Prusa, aby ograniczył doświadczenia pisarza do doświadczeń sklepikarza, aby ukazywał tylko te związki przyczynowe, jakie widzi i rozumie drobnomieszczanin. Naturalizm na polskim gruncie przynosił pojmowanie historii z perspektywy sklepu, z jego okien nie było widać ani rodzającego się imperializmu ani ruchu robotniczego, widać było natomiast dulszczyznę, chłopską jurność i uliczny szynk. Naturalizm był formułą klasowego ograniczenia powieściowych konfliktów, ograniczenia od góry i od dołu, właśnie do poziomu drobnomieszczanina. Naturalizm zastępował historyczną świadomość przez małe realia.

W ostatnich dwóch dziesięcioleciach XIX wieku klasowy ruch robotniczy i chłopski zapisywał już pierwsze dokumenty własnej kultury. Literatura klasy panującej wypowiadała się w formach dojrzałych, tradycyjnych: w powieści, dramacie, w lirycznym wierszu. Działacze chłopscy zamykali swój indywidualny, niepowtarzalny życiorys w pamiętnikach ograniczonych każdorazowym kręgiem horyzontu. Klasa robotnicza kształtowała się w walce klasowej i politycznej i zapisywała pierwsze dokumenty tej walki: ulotkę, artykuł w nielegalnej prasie, wspomnienia. Kształtowała świadomość i przemawiała językiem polityki. Ale ten język polityki był zarazem językiem nowej i prawdziwej wiedzy o świecie. Język ten obnażał konflikt społeczny tam, gdzie ten konflikt rzeczywistości istniał. Opis fabryki czy akcji strajkowej dokonywał trafnej selekcji faktów, był mimo nieporadności stylu rozdziałem ludzkiej historii, uczył myśleć i walczyć. Klasa robotnicza w przeciwieństwie do wszystkich innych stwierdzała swoje istnienie i formułowała swoje żądania w języku ekonomii politycznej. Kiedy dziś badamy pierwsze dokumenty kultury robotniczej w Polsce, uderzają nas przede wszystkim znamiona przewro-

tu umysłowego. Karty te przynoszą nie tylko nowy materiał literacki, nie tylko proletariackie realia, lecz nową świadomość, nową problematykę, nowe konflikty, jakie nie znalazły miejsca w literaturze mieszczańskiej.

Dam jeden przykład. Będą nim „Wspomnienia starego robotnika z lat 1893—1918”. Napisał je działacz SDKP i L, piekarz Olbrzymek. Książce tej bariery klasowe nie pozwoliły dotąd zająć należnego miejsca w literaturze polskiej. Zaimię go napewno. Wspomnienia Olbrzymka ukazują zapoznany nurt literacki, który prowadził do Lucjana Rudnickiego. Nurt ten jest świadectwem kulturalnych tradycji proletariatu, tradycji cennych i ważnych. Książka Olbrzymka jest jednocześnie biografią klasy robotniczej i historią rozwoju świadomości.

W X Pawilonie Olbrzymek po raz pierwszy zaczął systematycznie uczyć się i czytać. Czeladnik piekarski dorwał się do wielkich klasyków, czytał Szekspira, Lukrecjusza, Balzaca, zaczął przegryzać się przez Marksa, zabrał się do „Kapitału”.

„Nie czułem nawet tej obawy i nieśmiałości, o jakiej mi opowiadali towarzysze inteligenci, którzy przecie przed „Kapitałem” czytali coś nie coś z ekonomii politycznej, byłem pod tym względem w stanie zupełnej dziewiczości, nie miałem najmniejszego pojęcia o ekonomii politycznej — nie znalazłem nawet terminologii... Znaczenia wielu słów i określeń musiałem się tylko domyślać, gdyż nie było kogo o nie zapytać. Po bardzo powolnym i pracowitym przeczytaniu kilku pierwszych rozdziałów, przyszedłem do przekonania, że nie najzupełniej nie rozumieć. Czytałem jednak dalej. Zaczęłem się trochę orientować dopiero przy czytaniu dalszych rozdziałów, gdzie jest mowa o kupnie i sprzedaży siły roboczej, bo te sprawy trochę znałem z praktyki. Przypomniałem sobie obliczenia zysków mego majstra, jakie robiłem przed pierwszym strajkiem piekarskim w roku 1897, i łatwo zrozumiałem, że zyskiem jego była nieopłacalna wartość naszej pracy. Nie umiem opisać, jak bardzo ucieszyło mnie to proste odkrycie, że i ja narazie będę mógł coś zrozumieć. Nie mniejszą radość sprawiło mi cytowane przez Marksa sprawozdanie komisji badającej warunki pracy w piekarniach londyńskich. Setki razy z radością powtarzałem cytowane przez Marksa łacińskie przysłowia: w tej bajce jest mowa o tobie, zmieniło tylko imię”.

Tak proletariatus zdobywał świadomość własnego doświadczenia klasowego. Małe realia stają się wielkie, kiedy ucza rozumieć historię. Tak właśnie wyrasta nowy typ kultury. Walka klasowa budziła potrzebę wiedzy. Wiedza dawała nie tylko świadomość historii, kałała w niej uczestniczyć. Najmłota stawał się bohaterem, rozumiał świat i go zmieniał. Kiedy literatura mieszczańska zdradzała wielki realizm, rodził się on w kulturze proletariackiej. Gorki dostrzegł bohatera nowej historii.

WYBÓR KONFLIKTU

Wybór konfliktu pokazuje najjaśniejszy klasowy charakter literatury. Wielcy realiości wybierali ten typ konfliktu, który obnażał klasowe przeciwieństwa pozwał jednocześnie ucieleścić je w żywych, konkretnych postaciach. Mieszczańska uciekająca przed zakusami lowelasa, w sentymentalnych powieściach Richardsona, broń nie tylko swojej cnoty, ale honoru i znacności trzeciego stanu. Dziarski parweniusz z francuskiej powieści wieku Oświecenia, który z czarującą niefrasobliwością w każdym rozdziale rozpoczyna nową przygodę, dla którego szczeblem awansu społecznego jest sypialnia jejmości lub rajfurstwo dla pana, dla którego miarą moralności jest własna korzyść a usprawiedliwieniem każdego czynu powodzenie, budzi pomimo swych łotrystw naszą sympatię i niemalże jest pozytywnym bohaterem rodzącego się społeczeń-

PO KONGRESIE ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

W Warszawie zakończył obrady drugi w Polsce Ludowej Kongres Związków Zawodowych. Wielka „szkoła socjalizmu”, jaką jest organizacja zawodowa polskiej klasy pracującej, grupująca w swych szeregach trzy i pół miliona robotników i pracowników umysłowych, stanowi dziś najbardziej masowy teren kształtowania nowego człowieka, który rewolucyjnym swym wysiłkiem przeobrażając rzeczywistość społeczną — przeobraża siebie. Tu — w ruchu zawodowym polskiego proletariatu — w sposób najbardziej konkretny uczestniczą się żywa łączność między klasą pracującą a jej rewolucyjną awangardą, Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą.

Właśnie dlatego znaczenie Kongresu Związków Zawodowych daleko przekracza zakres bezpośrednich zadań proletariatu polskiego w chwili obecnej, skoro klasa ta, pod której przewodem naród tworzy dziś nową, socjalistyczną formę swego bytu społecznego, przoduje mu też w tworzeniu nowej, socjalistycznej kultury. Kongresowe uchwały i rezolucje, dotyczące spraw najkonkretniej gospodarczych i społecznych, wskazując klasie pracującej jej zadania w budowie nowego ustroju, wskazują tym samym kierunek rozwoju tej kultury, której podstawą staje się nowy, socjalistyczny układ stosunków między-ludzkich.

DYGRESJA WSPÓLczesna

Zetknąłem się z nim przelotnie, na długo przed tym, zanim poznałem jego sprawę, pierwszy raz na jakimś zebraniu we Wrocławiu, w czasie wysiedlenia Niemców. Uderzyła mnie konkretność we wszystkim, co mówił, jakby techniczna dokładność. Słowo wtedy o punkty kwaternikowe, o opiekę lekarską, o jakąś zniszczoną bocznice kolejową. Widziałem go po raz drugi na zjeździe korespondentów chłopskich miejscowej gazety. Przemawiał krótko i uderzyła mnie w tych kilku nastu zdaniach, jakie powiedział, przewaga samych rzeczy, organizacji, techniki, nąd, jak to się mówi, ideologią. Kolportaż gazety sprowadził do sprawy rowerów, potem długo mówił o spłatach i reperacji detek.

Nazywał się Piotr Grzeszczyk, był to chłop wysoki i zwalsty, trudno było zapomnieć, jak się go raz widziało. Kiedy na trzy tygodnie przed Kongresem wezwano mnie, aby jechać do wioski Polka, trzy godzinny jazd samochodem za Wrocławiem, niedaleko granicy, nie wiedziałem, że jędę do Grzeszczyka albo raczej w sprawie (dokończenie na str. 2)

ADAM SCHAFF

WALKA KLAS W FILOZOFII

W czterdziestolecie „Materializmu i empiriokrytycyzmu“ Lenina

FILOZOFIA A POLITYKA

FILOZOFIA i partyjność, filozofia i polityka — czy to nie brzmi jak paradoks? Z punktu widzenia tradycyjnej, burżuazyjnej filozofii brzmi to wprost jak świętokradstwo. Ponadpartyjność, a polityczność nauki w ogóle a filozofii w szczególności jest dla niej przecież dogmatem. Tradycyjna intuicja słowna każe nam przez „filozofię“ rozumieć coś odczerpanego od życia, od praktyki, coś, co jest przeciwieństwem zainteresowań praktycznych a w każdym razie politycznych. W potocznym rozumieniu słowa „filozof“ i „filozofia“ nie trudno dosłuchać się subtelnego odcienienia znaczeniowego, w którym brzmi nutka lekceważenia ze strony przeciętnego człowieka dla rozważań nie mających znaczenia praktycznego i dla ludzi, których zawodem jest balansowanie w obłokach abstrakcji. Ale intuicji tak zwanego „zdrowego rozsądku“ nie wolno bezkrytycznie wierzyć, zwłaszcza gdy wpływamy na głębokie wody nauki, a już zupełnie nie można dowierzać „dogmatom“ tradycyjnej filozofii. Drugogocący cios dogmatowi o apolitycznym, ponadklasowym i ponadpartyjnym charakterze jej rozważań zadał Lenin w „Materializmie i empiriokrytycyzmie“, jednym z klasycznych już dzisiaj dzieł filozofii marksistowskiej, stanowiącym nowy etap jej rozwoju.

Treść „Materializmu i empiriokrytycyzmu“ jest ogromnie bogata. Przeprowadzając generalną rozprawę z filozofią Macha i Avenariusza oraz ich pseudomarksyistowskich zwolenników, musiał Lenin wziąć na warsztat nie tylko podstawowe zagadnienia gnosceologii, lecz również zanalizować i uogólnić filozoficzne nowe teorie fizykalne a wreszcie puścić się za wrogiem w dziedzinę socjologii. Podchodząco też do „Materializmu i empiriokrytycyzmu“ od rozmaitych stron, znajdując w tym dziele przegubate źródło wiedzy marksistowskiej i bodźce dla badań w rozmaitych dziedzinach. My zatrzymamy się na jednym jego wycinku, analizując, jak Lenin postawił sprawę partyjności filozofii i jak jego tezy znajdują zastosowanie w naszej rzeczywistości.

Geneza „Materializmu i empiriokrytycyzmu“ jest żywym zaprzeczeniem dogmatu sklasowości i apartyjności filozofii. Książka ta powstała w latach reakcji stołypinowskiej jako owoc i część składowa zaciętej walki politycznej, którą bolszewicy z Leninem na czele prowadzili wówczas przeciw reakcji i jej agentom w ruchu robotniczym. Przegrana rewolucji 1905 r. i okres terroru reakcyjnego po przegranej przetrzasnęły słabsze elementy, które na fali rewolucyjnej napływały do partii robotniczej. Tendencje do zlikwidowania nielegalnego ruchu robotniczego, które wśród oportunistycznych elementów szerzyły się pod nazwą „likwidatorstwa“, znalazły odbicie również w dziedzinie „ideologii“. Część inteligencji partyjnej, która nigdy nie stała mocno na gruncie marksizmu, zaczęła w dziedzinie teorii odwrót od marksizmu. W filozofii szerzyły się zaczął rewizjonizm pod sztandar „unowocześnienia“ marksizmu i „godzenia“ marksizmu z empiriokrytycyzmem — filozofią Macha i Avenariusza. O charakterze tego „godzenia“ marksizmu z idealistyczną filozofią empiriokrytycyzmu świadczy fakt, że pewne koła tych empiriokrytyków, którzy chcieli być marksistami, doszły do koncepcji „społeczystycznej“ religii („poszukiwacze boga“, „bogotwórcy“). To odstępstwo od marksizmu było tym niebezpieczniejsze, że głoszone było jako „prawdziwy“ marksizm. Wywołano przez to zamęt ideologiczny był dla partii groźny i wymagał natychmiastowej, zdecydowanej odpowiedzi. Udzielił jej Lenin w swym „Materializmie i empiriokrytycyzmie“.

Engels podkreślił w swoim czasie, że walka klasowa toczy się w trzech płaszczyznach: ekonomicznej, politycznej i ideologicznej. Ideologia wyraża przecież i kształtuje świadomość i wolę ludzi tworzących historię. Ideologia postępową przyspiesza, wsteczna — hamuje rozwój społeczny; dlatego też ideologia, która opanowała masy, staje się siłą materialną. W społeczeństwie klasowym — jako element wielkiej batalii klasowej — toczy się również walka o to, jaka ideologia

oponuje masy, jaka ideologia będzie je mobilizować i organizować; od tego zależy przecież także wynik walki ekonomicznej i politycznej. Ideologia w społeczeństwie klasowym jest i musi być klasowa, tzn. odzwierciedlać interesy określonej klasy społecznej. Marksizm jest taką klasową ideologią proletariatu, materializm dialektyczny — taką klasową filozofią proletariacką. Zadaniem Lenina było wykazanie, że przeciwnicy marksizmu, konkretnie — machiści jako przeciwnicy filozofii marksistowskiej, zajmują również klasowe i partyjne pozycje, ale pozycje po drugiej stronie barykady, po stronie burżuazji. Tylko takie zerwanie z nich maski „ponadpartyjności“, tylko takie odkrycie ich burżuazyjnego oblicza mogło doprowadzić do unieszkodliwienia ich. Rozwiązanie tego zadania przez Lenina miało jednak o wiele szerszy wydźwięk. Lenin nie tylko unieszkodliwił wówczas rewizjonizm empiriokrytyczny, lecz uzbudoł proletariatu w oręż ideologiczny, którym z powodzeniem postępujemy się po dziś dzień.

O PARTYJNOŚCI FILOZOFII

„Za gnosceologiczną scholastyką empiriokrytycyzmu — pisał Lenin w ostatniej konkluzji swego dzieła — nie można nie widzieć walki partji w filozofii, walki, która w osłabianiu rachunku wyraża tendencje i ideologie wrogich klas współczesnego społeczeństwa. Najnowsza filozofia jest tak samo partyjna, jak dwa tysiące lat temu, walczącymi partiami w istocie rzeczy, ukrywanej pod uczeniwszalańskimi nowymi hasłami lub głupkowatą bezpartyjnością, są materializm i idealizm. Ten ostatni jest tylko subtelną, wyrefinowaną formą fideizmu, który występuje w pełnym rymsunktu, rozporządzając wielkimi organizacjami i stale oddziaływa na masy, wykorzystując najmniejsze zachwianie się myśli filozoficznej. Obiektywna, klasowa rola empiriokrytycyzmu sprowadza się całkowicie do służenia fideizmowi w ich walce z materializmem w ogóle i z materializmem historycznym w szczególności.“

Wielką zasługą Marksa i Engelsa jest odkrycie i jasne sformułowanie partyjności filozofii, wskazanie na dwie wielkie partie, które występują historycznie pod rozmaitymi przybrajami — partie materializmu i idealizmu. W tych dwóch zasadniczych przeciwstawieniach — pisze Lenin — obracają się w s y s t e m i e filozoficzne uwagi Marksa — z punktu widzenia profesorskiej filozofii, na tę właśnie „ciasności“ i „jednostronności“ polega ich brawo.“

Machiści podnosili zawsze swą materialistyczną partyjność do rzędu naczelnej zasady. „Marks i Engels od początku do końca byli partyjni w filozofii, umieli wykrywać odstępstwa od materializmu i ustępstwa na rzecz idealizmu i fideizmu w wszystkich i wszelkich „najnowszych“ kierunkach.“ Otwarcie partyną w filozofii jest religia broniąca w swoim interesie idealizmu. Ale partyjność filozofii występuje na jaw i tam, gdzie chcąoby ją ukryć w gąszczu frazesów o „bezpartyjności“ filozofii. „Czy można się dzwici temu — pisze Lenin — że Rudolf Willi w 1905 roku o wojnie, jak z żywym wrogiem, z Demokrytem, doskonale ilustrując tym partyjność filozofii o fil i znowu odstawiając swą prawdziwą pozycję w tej partyjnej walce?“ Czy można się dziwić namietnemu atakowi całej t. zw. oficjalnej filozofii na Haeckla, który odzignął się w sposób materialny, ale którego poglądy były niebezpieczne dla idealistów? „Wojna“ przeciw Haecklowi dowiodła, że ten nasz pogląd (o partyjności filozofii A. S.) odpowiada o b i e k t y w n e j r z e c z y w i s t o ścią, tzn. klasowej istocie współczesnego społeczeństwa i jego klasowych tendencji ideowych.“

W klasowym społeczeństwie filozofia może być tylko klasowa i partyjna. Ci, którzy głoszą apartyjność swjej filozofii,

którzy pretendują do tego, iż wzniesli się „ponad“ materializm i idealizm, „ponad“ walkę klas w społeczeństwie, świadomie lub nieświadomie ukrywają swą partyjność. Na tym polega niebezpieczeństwo „partii środka“, która obiektywnie dąży do ideowego zdemobilizowania i a n i a k l a s y robotniczej i tym samym pomaga burżuazji.

„Z wszystkich partii — Lenin cytuje tu słowa Józefa Dietzgena — najniebezpieczniejsza jest partia środka...“ Jak w polityce partie coraz bardziej grupują się w dwóch obozach... tak samo i nauka dzieli się na dwie podstawowe klasy... Jeśli porównamy obie partje z czymś stałym i płynnym, to w środku będzie coś na kształt papki.“

O roli tej „partii środka“ decydują zaś nie „dobre chęci“ i deklaracje, lecz obiektywna funkcja społeczna. A ta jest jasna i wyraźna: pomoc dla fideizmu. „Spójrzcie teraz — powiada Lenin — z punktu widzenia partii w filozofii, na Macha i Avenariusza wraz z ich szkołą. O, ci panowie chępliwie się swoją bezpartyjnością i jeżeli mają antypode, to tylko jednego i tylko... materialistę. Poprzez wszystkie pisania w s z y s t k i c h machistowskich nie czerwona ciągnie się tepogłowa pretensja, by „wzniesić się wyżej“ ponad materializm i idealizm, przewyczyć go „przetrzasł“ przeciwstawienie, a w r z e c z y w i s t o ścią ale to bractwo co c h w i l a zesilauje się w idealizm prowadząc nieustannie i zacięta walkę z materializmem. Wyrefinowane gnosceologiczne wykretasy jakiegoś Avenariusza pozostają profesorskim wymysłem, próbą założenia „swojej“ maleńkiej filozoficznej sekty, zaś w r z e c z y w i s t o ścią, w ogólnych warunkach walki idej i kierunków współczesnego społeczeństwa, o b i e k t y w n a r o l a tych gnosceologicznych forteli jest jedna i tylko jedna: oczyszczać drogę dla idealizmu i fideizmu, wiernie im służyć. W samej rzeczy nie jest przecież przypadkiem, że za małą szkołą empiriokrytyków wloką się zarówno angielscy spirytualiści w rodzaju Warda, jak francuscy neokrytycyści chwalcący Macha za walkę z materializmem, jak niemieccy immanentni. Formuła J. Dietzgena: „dyplomowani lokaje fideizmu“ uderza celnie w Macha, Avenariusza i całą ich szkołę.“

Zajmując zdecydowane i jasne stanowisko w toczącej się w filozofii walce partyjnej, stawiając pod pręgierz „dyplomowanych lokajów fideizmu“, marksizm bynajmniej nie wyrzeka się ich osiągnięć naukowych. Zrozumienie tego jest niezwykle ważne dla zrozumienia całego stanowiska marksizmu w tej sprawie: „...zadanie marksistów polega na tym, aby umieć przyswoić sobie i krytycznie opracować te zdobycze, które zostały osiągnięte przez tych „urzędników“ (nie zrobieć, na przykład, ani jednego kroku naprzód na polu badania nowych zjawisk ekonomicznych, nie korzystając z prac tych urzędników) — i u m i e ć o d c i a ć ich reakcyjną tendencję, umieć prowadzić w i a s n ą linię i walczyć z c a ł ą l i n i ą wrogich nam sił i klas.“

„Ale to nie zmienia bynajmniej sprawy, jeżeli idzie o stosunek do filozoficznych poglądów tych autorów...“ „A n i j e d n e m u z tych profesorów, zdolnym do tworzenia najcenniejszych prac w specjalnych dziedzinach chemii, historii, fizyki, nie m o ż n a w e r z y c z ą n i j e d n e g o s i o w a, a g d y chodzi o filozofię.“

Do „partii środka“ należą często ludzie, którzy subiektywnie nie chcieliby mieć się z reakcją, którzy swe wolnościowe „sympatie“ i deklaracje łączą jednak z faktycznym wysługiwaniem się celom reakcji. Ostry osad „humanitarnych filistrów“, ich chwiejność i dwouśność, brzmi u Lenina zupełnie, jakby odnosił się do dzisiejszych stonków. Analizując postawę Rudolfa Williego, który idzie z a i d e a l i s t ą Schuppe, lecz d e k l a -

ALEKSANDER PUSZKIN

CARSKIE SIOŁO

Plastunie miłych uczuć i dawnych rozkoszy,
Gemuśzu dla pieśniarza gajów ty najdroższy,
Wspomnienie błogie, maluj mi te miejscowości
Czarowne, gdzie dotychczas dusza moja gościł.
Te lasy, gdzie miłowaliśmy, gdzie się rozwijało
Uczenie i z młodzieńca wczesna moja gościł.
Dzieciństwo, gdzie poezję poznałem i pogodę,
Pleszyczony przez marzenie i piękną przyrodę.

Prowadź mnie pod lipowe cienie, co są zawsze
Dla wolnego lenistwa mego najłaskawsze.
Nad brzeg jeziora prowadź, na wzgórz ciche zbiczca.
Niech znów zobaczę ciębie, ląko ma uroczą
I was, przastare drzewa i jasną dolinę.
I ukwiecnych brzegów obrazy rodzinne,
I na cichym jeziorze niech mi dane będzie
Utrzeć, jak płyną pyszne spokojne łabędzie.

WINOGRAD

Nie będę róż żałował, w sadzie
Zwielidny pospołu z lekka wiosną:
I tyś mi drogi, winogradzie,
Gdy kiście twe pod górą rosą
Szczęście jesiennych dni złocistych,
Urodo kwiennej mej doliny.
Pięknie podluzny i przejrzysty,
Jak palce miłej mi dziewczyny.

przetłóżył WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

r u j e swą „sympatię“ dla Haeckla. Lenin powiada: „Tacy są oni wszyscy, humanitarni filistrzy w Europie z ich wolnościowymi sympatiami i z ideową (i polityczną, i ekonomiczną) niewolą u Wilhelma Schuppe. Bezpartyjność w filozofii jest tylko pogardy godnym ukrytym kajakstewem wobec idealizmu i fideizmu.“

Ślad wyraźny i jasny postulat: określonej swą pozycję filozoficzną, zająć zdecydowane stanowisko w walce partji w filozofii. „My żądamy stanowczości — mówi Lenin, cytując J. Dietzgena — chemy jasności. Idealistami mianują siebie reakcyjni obskuranci (Retreibläser), materialistami zaś winni nazywać się ci wszyscy, którzy dążą do wyzwolenia umysłu ludzkiego od galimatiasu metafizycznego.“

LINIA PODZIAŁU CORAZ WYRAŹNIEJSZA

Od czasu, gdy Lenin pisał swój „Materializm i empiriokrytycyzm“, podział partyjny w filozofii jeszcze bardziej się zaostriżył. Już wówczas materialistyczny światopogląd łączył się ściśle z ideologią proletariatu, co powodowało coraz wyraźniejszą polaryzację ideologiczną i skupianie się reakcji na biegunie idealistycznym. Ale wówczas nie było jeszcze Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej; wówczas nie było jeszcze podziału świata na oboz postępu i socjalizmu z jednej, oboz reakcji i imperializmu z drugiej strony; wówczas ideologia proletariacka nie stanowiła jeszcze takiego niebezpieczeństwa i nie wprawiała burżuazji w takie przerażenie jak dziś. Zrozumiałe więc, że dziś polaryzacja jest jeszcze większa, że dziś burżuazja zjeżdża większą nienawiścią do słowa „materializm“, że dziś bardziej jeszcze niż wówczas kontrofensywa idealizmu stara się zahamować zwycięski pochód idei naukowego socjalizmu. Powstają coraz nowe „izmy“, na miejsce jednej bankrutowanej filozofii burżuazyjnej przychodzi nowa; powódz „nowinek“ ma przystosować obraz rozkładu i niemozy intelektualnej. Na miejscu wczorajszego machizmu powstały pogorowcy: neopozytywizm, pozytywizm logiczny, różni mieszancy machizmu i pragmatyzmu, machizmu i neohigizmu itd. Na miejscu wczorajszych immanentów i intuicjonistów — najrozmaitsze personalizmy, a nade wszystko — twór burżuazyjnej dekadencji — różne postacie egzystencjalizmu. A jako ukoronowanie — otwarty i wyraźny nawrót do mroków średniowiecza, którego widowym wyrazem jest rozkwit filozofii neoscholastycznej. W religiantwie i fideizmie szuka dziś burżuazja ratunku ideologicznego. Linią dzielącą filozofię na dwie partie — materialistyczną i idealistyczną — staje się coraz wyraźniejsza i coraz ostrzejsza. I tylko ktoś, kto bardzo długo karmiony był profesorską papką tradycyjnej filozofii, może na serio uwierzyć, że te różne „izmy“ oznaczają wzniesienie się „ponad“ podział na materialistów i idealistów.

Zresztą zagadnienie to odnosi się jeszcze tylko do osławionej „partii środka“. Na lewicy i na prawicy partyjny charakter filozofii zaznacza się jasno i wyraźnie. Na lewicy materialistycznej skupiają się elementy postępowe społecznie i naukowo. Na prawicy idealistycznej skupiają się społeczne wstecznicwo i naukowy obskurantyzm; od otwartych fideistów do proroków wojny atomowej typu Russella. Ta polaryzacja występuje też coraz wyraźniej u nas: z jednej strony marksizm, z drugiej rozmaite odmiany filozofii katolickiej.

W związku z tą polaryzacją stanowisk zaostrza się zagadnienie t. zw. partii środka, szczególnie tej jej części, która nie tylko pozuje na postępowość, lecz jest naprawdę do obozu postępu zbliżona. Obok plewy filozoficznej mamy przecież w sferach filozofii uniwersyteckiej pozycje poważne, światopoglądowo zbliżone do materializmu. W walce partyjnej, która rozgrywa się u nas na froncie filozoficznym, poważne znaczenie ma kwestia, po jakiej stronie znajdują się ci najlepsi przedstawiciele „partii środka“; czy staną jako „humanitarni filistrzy“ — mówiąc terminologią Lenina — po stronie prawicy, czy też przejdą otwarcie na stronę materialistycznej lewicy.

Ożywiona działalność kół klerykalnych w dziedzinie filozofii nie jest rzeczą przypadkową; jest to przecież jeden z odcinków toczącej się u nas walki klas. Nie jest rzeczą przypadkową, że forsuje się w naszych czasopiśmiech klerykalnych indetermizm, idealizm itd. — przy pomocy odpowiedniej interpretacji nowoczesnej fizyki; że zajmuje się materializmem dialektycznym; że organizacje klerykalne u-

rzadzają specjalne „seminaria“ marksistowskie. To jest właśnie walka partii w filozofii.

A jaka jest w tej sprawie pozycja „partii środka“? Część jej składa się z ludzi, którzy tylko listkiem figowym rozmaitych „izmów“ zakrywają swój idealizm; to jest przedłużenie prawicy. Ale są tam również ludzie bliscy lewicy materialistycznej. Niewątpliwie reizm czy somatyzm jest światopoglądowo bliski materializmowi. Jego zwolennicy winni zdać sobie sprawę z fikcji „ponadpartyjności“ filozoficznej, winni zrzuścić, że zachowując fałszywą pozycję „partii środka“, tym samym ułatwiają grę tym, którzy pragną zamaskować swe reakcyjne oblicze, stosując mimikrę do różnych „izmów“ „partii środka“. Wybor jest wyraźny i coraz bardziej niedwuznaczny; między „humanitarnym filistrstwem“, które obiektywnie wleczą się w ogień reakcji, a zdecydowanym materializmem.

PARTYJNOŚĆ FILOZOFII — BRON PRZECIW KOSMOPOLITYZMOWI

W dzisiejszej sytuacji zagadnienie filozofii przełamuje się swoiście na tle walki z kosmopolityzmem jest bowiem tylko innym aspektem walki z „ponadpartyjnością“ ideologii.

Nauka jest jedna — głosili zwolennicy aklasowej i apartyjnej nauki. Nieprawda — odpowiadają marksisti. Nauka nie jest jedna, jak długo rozwija się w społeczeństwie klasowym. W klasowym, kapitalistycznym społeczeństwie nauka jest warunkowana interesem tej klasy, której przedstawicielami są jej twórcy. Dlatego też w społeczeństwie kapitalistycznym nauka jest albo burżuazyjna albo proletariacka; tylko ta ostatnia może być do końca postępową a tym samym obiektywną, gdyż interes tworzącej ją klasy jest zgodny z obiektywnym rozwojem społecznym. Linią dzielącą społeczeństwo kapitalistyczne na zwalczające się klasy jest linia dzieląca jego ideologię na dwie — wyrażające interesy tych klas — ideologie. Sens walki marksizmu z „bezpartyjnością“ ideologii polegał na tym, że głosząc bezpartyjność ideologii burżuazja dążyła do narzucenia swojej p a r t y j n e j ideologii masom pracującym, hamując tym samym ich aktywność.

„Dziś, gdy świat dzieli się na dwa wielkie obozy, gdy socjalizm zwyciężył w grupie krajów, których rozwój usiłuje zahamować oboz imperialistyczny, linia podziału — i w polityce, i w ideologii — przebiega nie tylko między klasami, lecz między państwami, między obozem socjalizmu a obozem imperializmu. Kraje, które zbudowały lub budują socjalizm, są nosicielami nowej, postępowej, socjalistycznej kultury i tylko one mogą tworzyć prawdziwie postępową, obiektywną naukę. I tylko one też — jeżeli bierzemy pod uwagę całość procesów kulturowych — tworzą naukę. Kraje imperializmu przeżywiają rozkład ekonomiczny i ideologiczny; jeżeli idzie o panujący w nich, burżuazyjny ideologię, są one nosicielami nauki wstecznej, służącej celom podżegaczy wojennych i współczesnych handlarzy niewolników, nauki, która sięga do najgłębszych głębin obskurantyzmu i wstecznicwa, byle obezwładnić masy i spełnić swą funkcję ideologicznej obrony imperializmu.“

Nauka jest jedna, nauka nie zna granic — mówią współcześni zwolennicy tezy o „bezpartyjności“ nauki. Nieprawda — odpowiadają marksisti. D z i s i a j n a u k a nie jest jedna, d z i s i a j, jak długo istnieje oboz imperialistyczny — nauka zna granice. Jaka bowiem może być jednością nauki służącej interesom podżegaczy wojennych, hamowanej subiektywizmem współczesnych handlarzy niewolników, podporządkowanej ich rozkazom — i nauki rozwijającego się społeczeństwa socjalistycznego, nauki obiektywnej, która nie ma hamulców w obiektywnym odzwierciedleniu prawidłowości rozwoju rzeczywistości w ogóle a rzeczywistości społecznej w szczególności? Jak można mówić, że nauka nie zna granic, gdy ta pseudonauka, którą imperialiści chcą ułóżać z nauką, nauka podżegaczy wojennych i głosiceli interwencji, nauka dekadencji i pesymizmu burżuazyjnego, „nauka“ Sartre'a, Millera, Russella i Dewey'a, Smutsa i Hayeka, na granice krajów socjalizmu i demokracji?

Dawniej ogłoszono „bezpartyjność“ nauki, by pod tym szyldem narzucić masom pracującym partyjną naukę burżuazji. Panowanie ideologiczne jest bowiem częścią składową panowania politycznego.

Dziś głosi się „bezpartyjność“ nauki, która „nie zna granic“, by pod tym szyldem narzucić narodom klasową i partyjną ideologię imperialistów anglosaskich. Panowanie ideologiczne jest bowiem czę-

KONFLIKTY SOCJALISTYCZNE

(Dokończenie ze str. 1)

Grzeszczyka. Miał być wyrzucony z partji, taki przynajmniej był wniosek Komitetu Powiatowego. Więcej nie chcieli mi powiedzieć.

Zbranie trwało wiele godzin. Obradowaliśmy w szkole, ciężko było usiedzieć na zbyt wąskich ławkach, które pachniały jeszcze świeżym drzewem. Naprawdę sekretarz powiatowy próbował wprowadzić jakiś porządek do dyskusji. Chłopi powtarzali ciągle, że siedzą u Grzeszczyka w kieszce, że na niego robią, powtarzała się niestannie historia jakiejś orki, potem odrobku w czasie żniw, pożyczek na ziarno i długów. Długo nie mogłem wszystkich zdarzenia w historii jednej wioski i jednego życia. Zrosła się wreszcie powoli z cząsteczek, wyrosła niespodziewanie ponad tę małą wioskę i ponad Grzeszczyka.

Przed wojną pracował jako szuszarz u Cegielskiego. W partii był od szesnastego roku życia; w trzydziestym piątym dostał dwa lata za podburzanie do strajków, pracował w kopalniach w Donbasie, potem był w Pierwszej Armii, z brygadą człogową dotarł do Berlina. Dostrzył się sierżanta, zwolniono go z wojska, dostał 10 hektarów jako osadnik wojskowy nad granicą. Był jednym mechanikiem we wsł i tak się właściwie wszystko zaczęło. Wieś była bogata, chociaż zniszczona przez wojnę. Na polach poniewierano się żelastwo, potamane maszyny rolnicze, żniwarki, sieczkarnie, jak zawsze. We wsł ubiał chłopi z Buga, nikt z nich nie umiał reperować maszyn, jeden Grzesz-

czyk, był przecież w czoiach blisko dwa lata, a przedtem u Cegielskiego. Po paru miesiącach w zagrodzie Grzeszczyka stała młockarnia, wkrótce przybyły żniwarki, cały park maszyn. Grzeszczyk brał zboże do omłotu, kazał sobie płacić. Nie za dużo, nie za mało, sprawiedliwie. Kupił sobie konia, potem krowy, potem znowu konia. Teraz pożyczal maszynę z koniem, a kto nie miał pieniędzy, to za odróbek. Pierwszy we wsł oddawał kontyngenty, abonował gazety, był sekretarzem koła, jeździł do Komitetu Powiatowego, nawet do Wrocławia. W partii byli z niego zadowoleni, wszystko się zawsze od niego zaczynało: spółdzielnia, wybory, szkoła. Po roku Grzeszczyk wziął dwóch parobków, nauczył ich obchodzić się z maszynami, znalazł gdzieś czy kupił jakiś gruchot, przy którym tak długo siedział, aż go nie przerobił na traktor, pierwszy traktor w całym powiecie. Wtedy już cała wieś pracowała na Grzeszczyka, wszyscy mu byli winni pieniądze albo dni pracy albo ziarno. „Gospodarka drobno-towarowa — pisał Lenin — rodzi codziennie, żywołowo kapitalizm“. Grzeszczyk miał niewiele więcej ziemi od innych, tyle tylko, że był szuszarzem, że znał się na maszynach. Grzeszczyk się nie zmienił, był ciagle aktywista partyjnym, ufano mu. We wsł Półka nad granicą, jak w innych wsłach i miastach, na zebraniach partyjnych mówiono o polskiej drodze do socjalizmu, o trzech sektorach, o walce klasowej. Tyle tylko, że ta klasowa walka gdzieś była daleko, tu we wsł Półka, jak w innych wsłach, nikt nie zauważył, że Grzeszczyk stał się kapitalistą, że rosnie nowe bogactwo, z

cudzej pracy, że wszyscy zaczyna się niemal od nowa. Grzeszczyk sam tego nie zauważył, nie zauważono tego nawet w powiecie.

Potem przyszło wreszcie sierpniowe plenum, jakby ktoś drzewi otworzył historii. Przestała się kończyć na reformie rolnej z czterdziestego piątego roku.

Piotr Grzeszczyk mówił mało, bronił się skąpo, słuchał. Zrobiła się późna noc. Grzeszczyk mówił tylko jedno, że był w partii od 1923 roku i że z partii nie wyjdzie. Wniosek z Komitetu był na wyrzucenie. Sekretarz wniosek odczytał, chłopci milczeli, trzeba jednak było głosować. Nikt nie podniósł ręki — ani za, ani przeciw. Kiedy przewodniczący rzucił wreszcie swoje: kto się wstrzymuje i od głosowania, zaczęli wszyscy mówić jedno przez drugie o szkole, że te szkole to przecież Grzeszczyk budował, o jakiejś akuszerce, którą przywoził do wsł z powiatowego miasta. Jak przedtem napadali, tak teraz go bronili. Historia — jest ciężka do zgryzienia tak samo w górskiej Półce, jak w Warszawie. Cięży na plecach tak samo w górskiej Półce jak w Warszawie. Ten ciężar ciężko jest zrzucić.

Piotr Grzeszczyk nie został wyrzucony. Dziś w Półce jest spółdzielnia produkcyjna. Piotr Grzeszczyk jest w niej mechanikiem, oddał swoje maszyny spółdzielni. Dzieje Grzeszczyka nie są jeszcze skończone. Dzieje Grzeszczyka dopiero się zaczynają.

Oto typ socjalistycznego konfliktu, jaki czeka na swego pisarza.

Jan Kott

¹³⁾ Lenin, Marks - Engels - Marksizm, str. 211—212.

RYSZARD MATUSZEWSKI

DRUGA POWOJENNA KSIĄŻKA ADOLFA RUDNICKIEGO



Adolf Rudnicki

PROZA 1949

KAZIMIERZ Wyka już przed przeszło rokiem przewidział sytuację, jaka czeka nas w czasie najbliższym na terenie literatury: po ujawnieniu, w pierwszych latach po wojnie, dorobku okresu okupacji, po pierwszej powojennej fali napięcia twórczego, pisarze staną wobec nielawnych problemów nowego życia, i nawet przy optymistycznym założeniu, że zdołają się szybko na nie przestawić, musi nastąpić chwilowe zahamowanie.

Musi nastąpić po prostu dlatego, że skończy się okres, w którym jeden rok ujawniać będzie produkcję i materiały nagromadzone w ciągu kilku lat wojennej przerwy w akcji wydawniczej. Lata 1945-1947 to czas, w którym wydawano dorobek okresu 1939-1947, a więc lat dziewięciu. Na jeden rok przypadały trzy. Rok 1948 i następne zdane są już niemal wyłącznie na dorobek bieżący.

Nie jest to oczywiście powód do sceptycyzmu. Ogólny klimat powszechnego strachu i nieszczerca nie jest klimatem tak znów bardzo sprzyjającym nie tylko pisaniu, ale nawet gromadzeniu pisarskich doświadczeń, abyśmy nie mogli zakładać, że każdy rok pokój i wolności daje trzykrotnie większy plan pisarski niż rok wojny i niewoli. Obecny okres pewnego zahamowania trudno uważać za kryzys czy inaspcją: to po prostu okres wyczerpanej pracy pisarzy nastawionych w chwili obecnej na nowy cel, nowe etapy twórczego wysiłku. Okres, w którym, po zamknięciu rachunku dawnych osiągnięć i dawnych błędów, wyciągnie się z tego rachunku praktyczne, pisarskie wnioski w dążeniu do osiągnięć nowych.

W latach 1946-1947 nowa, budząca powszechną uwagę książka zjawiała się co parę miesięcy. Wypływały nowe nazwiska: Dygata, Zukrowskiego, Brandysa, Borowskiego. Aktualizowały się dawne: Brezy, (pierwsza nagroda „Odrodzenia” 1946), Andrzejewskiego („Noc”), Iwaszkiewicza („Nowa miłość”), Nalkowskiej („Medaliony”). Wrzaski dyskusji i polemiki. W chwili obecnej nowe książki i nowe nazwiska pojawiają się rzadziej. I czytelnicy i krytyka stawia coraz wyższe wymagania pisarzom.

W roku 1948 mieliśmy w prozie trzy wydarzenia pisarskie dużej miary: Adolfa Rudnickiego „Szekspir”, „Popiół i diament” Andrzejewskiego oraz Lucjana Rudnickiego „Stare i nowe”. W roku bieżącym, którego pięć miesięcy mamy już za sobą, zanotować można dotychczas dwa zjawiska literackie tej klasy, co wymienione wyżej książki z roku poprzedniego. Jedno z nich to „Mickiewicz” Mieczysława Jastruna. Drugie — „Ucieczka z Jasnej

Polany”, drugi powojenny tom opowiadań Adolfa Rudnickiego.

Książki Jastruna i Rudnickiego należą do zupełnie odmiennych kategorii zjawisk literackich. Jeśli wymieniam je razem, to dlatego, że obie stanowią wydarzenia wyjątkowe i wyjątkowo wybitne, każda w swoim rodzaju, w dziedzinie naszej twórczości prozatorskiej.

DAWNY I NOWY RUDNICKI

Rzadkość, nieomal wyjątkowość zjawiska świetnej prozy — wśród względnie obfitej ilości utworów średnich i mniej niż średnich — na przykładzie tegorocznej książki Adolfa Rudnickiego uderza w sposób szczególnie jasrawy. „Ucieczka” w większym jeszcze stopniu niż zeszlaczony „Szekspir” wyrasta ponad wszystko, co z ukazującą się dziś polskiej prozy można by z nią zestawiać. Nie było w naszej noweliście na przestrzeni ostatniego roku utworu równie znakomitego, jak opowiadanie o Klausie Hofferze, nie widzę również takiego, który miałby siłę wyrazu równą historii Sebastiana i Raisy z „Wniebowstąpienia”.

„Ucieczka z Jasnej Polany” łączy się tematycznie z „Szekspirem”, choć trudno było uważać ją pod jakimkolwiek względem za dalszy ciąg tamtych opowiadań. Układ każdego z tomów jest chronologiczny, poza tym akcja opowiadań w „Ucieczce” biegnie równoległe do akcji „Szekspira”, wyrasta z „Szekspira”, jak biblijna Ewa z adamowego zębra. Podobnie jak „Szekspir”, „Ucieczka z Jasnej Polany” złożona jest z opowiadań nowych i dawnych. Ich wzajemna proporcja ilościowa jest jednak w „Ucieczce” mniej korzystna dla utworów nowych, powstałych w ostatnim czasie. Jest ich dwa, wprawdzie dwa opowiadania niezwyklej jakości i wagi, wypełniające blisko połowę książki — „Wniebowstąpienie” i „Ucieczka z tytułu całości „Ucieczka z Jasnej Polany”; druga jej połowa jednak stanowi „Józefów” i „Bli” (dawny „Wrześni”), utwory sprzed 1941 roku a więc z okresu, który w „Szekspirze” reprezentowany był tylko przez jedną nowelę wstępną — „Konia”.

W ten sposób „Ucieczka”, w przeciwieństwie do „Szekspira” zawierającego przeważnie utwory publikowane po raz pierwszy w latach 1945-1947, dzieli się wyraźnie na dwie części pozwalające zestawiać Rudnickiego dawnego, z lat 1939-1941, z nowym, z przełomu lat 1947/48. Jest to zestawienie porównawcze i wymowne zwłaszcza, że dotyczy, jak mi się wydaje, dwóch „dobrych” okresów Rudnickiego.

DRUGA HUMANISTY

Opowiadanie „Józefów” pochodzi z tych samych lat, co otwierający „Szekspira” „Konia”, i jest właściwie do niego podobne. Tym zapewne należy tłumaczyć fakt, że autor nie wyodrębnił obu tych nowel w jednym tomie, lecz je rozdzielił. I „Konia”, i „Józefów” mówią o pięknym życiu i tragicznej śmierci dwóch szarych bojowników rewolucji z środowiska, które autor znał i opisywał już przed wojną, rysując w sposób ciepły i osobisty ich ludzkie sylwetki. „Józefów” i „Konia” stanowią w twórczości autora „Lata” i „Niekochane”; w ten sposób: wprowadzają w nią nową tematykę, nowe akcenty podziwu dla wiary i bohaterstwa walczących, solidarności z ich postawą. Tu powiedzcie trzeba, że z jednej strony wszystko co poprzednio pisał Rudnicki, cały przemieszczając i pełen głębokiego niepokojem obraz dusznej bezwysiowości i rozterki, które odwarzał, było logiczną podbudową i przygotowaniem zajętego obecnie stanowiska. Pełnemu wyrażeniu go stały na przeszkodzie raczej obiektywne warunki społeczne niż indywidualne opory pisarza. Z drugiej strony należy sobie uświadomić, że zarówno „Konia” jak „Józefów” nie były pisane ze stanowiska zupełnie nowego; stanowiska uczestnika, czynnego podmiotu sprawy będącej ideową treścią obu opowia-

dań, sprawy, za którą oddawali życie Zachariasz zwany „Koniem” i Joel Filut.

Druga, jaka przywiodła Rudnickiego w ich pobliże, była droga humanisty, droga szlachetnie myślącego i czującego wida, ale tylko wida. „Józefów” uwydatnia to w swej formie wyraźniej niż „Konia”, gdzie osoba narratora jest usunięta (ręcz u Rudnickiego raczej rzadka). Jednakże i w „Koni” drugi plan, w jakim występuje główna postać Zachariasza, widziana przede wszystkim oczyma ojca, Jakuba Kagan, wskazuje wyraźnie na luzność głęboko pozytywnego zeszałostunku autora do przedstawianego zagadnienia.

O wiele większy stopień zaangażowania i uczestnictwa występuje u Rudnickiego w stosunku do postaci takich, jak stary Kagan z „Koniam”, Abel z „Czystego Nurtu”, Daniel z warszawskiego powstania, nawet Sebastian z „Wniebowstąpienia”. W rysunku tych postaci zdobywa się Rudnicki na pełną bezpośredniość i pełny realizm, będący wykładnikiem tej czynnej postawy wobec świata, jaka cechuje wielkich realistów w przeciwieństwie do czysto obserwatorskiego i biernego stanowiska naturalizmu.

ABSOLUT I KLASOWA PODSEWKA

Ta postawa czynnego i osobistego zaangażowania, do której zbliżył się lecz której nie mógł w ówczesnym stanie swej świadomości ideowej osiągnąć Rudnicki w „Koni” i w „Józefowie”, występuje u niego w całej pełni w dwu typach zagadnień. Można by je nazwać, idąc za samym Rudnickim — zagadnieniami polskiego oraz żydowskiego losu. Oba one tworzą u Rudnickiego swoistą derywację ideologiczną. Oba wysnuje się ze swego widzenia rzeczywistości po przez obraz dwu środowisk, z którymi autor „Szekspira” zetknął się najbliżej. Są to: środowisko drobnoniebezpieczeństwa oraz inteligencji żydowskiej z całym bogactwem jego kompleksów i odcieni psychologicznych, oraz środowisko polskie, widziane zrazu wyłącznie przez szczególny pryzmat życia żołnierskiego z jego swoistymi warunkami, przekrojem konfliktów narodowych i klasowych.

Okres lwowski (okres „Koniam”, „Józefowa” i „Września”) mógł może z czasem doprowadzić Rudnickiego do przezwyciężenia tej swoistej derywacji, ale lata okupacyjne ją pogłębiły. W okresie powojen-

nym perspektywa spojrzenia na owe sprawy, również dawniej szeroka i humanistyczna, rozszerzyła się bardziej jeszcze i pozwoliła mu na osiągnięcia pisarskie o najwyższej artystycznej doskonałości. Ale idealistycznego w swym najgłębszym podłożu i do pewnego stopnia fatalistycznego podejścia do owych zagadnień Rudnicki do końca nie przezwyciężył. Jego „ginący Daniel” ginie w tragicznym poszukiwaniu bezklasowej sprawiedliwości w społeczeństwie, w którym najostrej występują klasowe konflikty. „Czysty nurt” miłości Abła, tragicznie odrzuconej przez uległą brutalnym okolicznościom życia Amelię, przesłania mu obraz świata, usuwa z kręgu świadomości wszystkie inne motywy postępowania, każe wybrać emigrację zamiast życia w Polsce.

A może Abel po zagładzie żydowskiego środowiska nie czuł się z Polską dostatecznie związany? Autor czyni wszystko, aby pokazać, że jego bohatera, łączyły z krajem również inne węzły środowiskowe; czyni też oficera, a więc człowieka obracającego się w środowisku polskim, kreśli realistycznie obraz reagowania zakochanej pary na wypadki historyczne. W takiej sytuacji o rzeczywistej decyzji Abła, w rzeczywistości, nie tylko konwencja artystyczna określonym światłem nie mogła rozstrzygnąć wyłącznie tragiczną miłość. Mogła ona wpłynąć decydująco na pierwszy impuls. Później musiały dołączyć do niej motywy inne. Tradycyjna konstrukcja artystyczna te inne motywy celowo z pola widzenia usuwa. Ale artystyczne uzasadnienie ich usunięcia nie jest uzasadnieniem ostatecznym. Piękna nowela Rudnickiego ukazuje fatalizm miłości, który jest tylko częściową prawdą życia.

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Nie wysuwam wcale pod adresem pisarza postulatu ukazania jakiejś „pełnej prawdy życiowej” i to w jednej noweli. Byłoby to nie tylko niemożliwe ale wręcz humorystyczne żądanie. Istotą kształtu artystycznego jest świadomy wybór i świadoma rezygnacja, selekcja. Nie twierdzą także, że musi ona iść w kierunku uwzględniania przede wszystkim „socjologicznej” konstrukcji ludzkiego losu. Zauważam po prostu i notuję występującą u Rudnickiego, i wynikał moim zdaniem niewątpliwie ze wspomnianych wyżej, swoistych derywacji ideologicznych, skłonność i pasję do

absolutyzowania spraw, które w ujęciu filozofii materialistycznej nie mają charakteru absolutnego, będąc sprawami w pewien sposób uwarunkowanymi historycznie i klasowo.

I znowu zastrzeżenie istotne i konieczne. Nie ma w Polsce drugiego prozaika, który by okres okupacji i jego historyczne konflikty dojrzał w takim natężeniu, ukazał z taką uczuciowością, odwagą i dojrzałością artystyczną, co Adolf Rudnicki. Każde z jego opowiadań, niezależnie od takiej czy innej konstrukcji losu swoich bohaterów — to kopalniami nie skłamanie, autentycznej, mistrzowsko uchwyconej i artystycznie przetworzonej wiedzy o świecie, ludziach, środowisku, to obraz rzeczywistości docierający do sedna spraw najistotniejszych, najdramatycznych, najbardziej niesłychanych.

Więc jeśli mowa, w odniesieniu do niektórych opowiadań w „Szekspirze”, o owej skłonności do absolutyzowania pewnych zagadnień, których realizm i w pełni ukazane oblicze musiałyby zdradzić ich nieabsolutną, klasową podsewkę, to znów mówna nie o czymś, co stanowi materialem primam, najistotniejszą substancję, realistyczny materiał obserwacyjny autora „Żołnierzy”, z czym pisarstwo jego jest najściślej, najnieodmiennie związane. Przeciwnie. Mowa o nadbudowie filozoficznej będącej u pisarza — realistę rzeczą często zewnętrzna, niezawsze świadomą, a niekiedy nawet przeczącą istotnej, wewnętrznej tendencji utworu (słynny przykład z Balzakim).

„PIĘKNA SZTUKA PISANIA”

Wracamy do punktu wyjścia. Okres „Koniam”, „Józefowa” i „Września” otworzył przed Rudnickim perspektywę pisarskie szersze od przedwojennych. Lata późniejsze perspektywę tę jeszcze bardziej rozszerzyły i wypełniły bogatą treścią znaczenie wyższych, artystycznych osiągnięć w zakresie ukształtowania realistycznej materii jego prozy. Niezawsze natomiast rozwiły ją w tym samym stopniu oblicze nadające ostateczny kształt jego utworom świadomości ideologicznej.

Opowiadania Rudnickiego dają wnikliwy obraz różnych stron zagadnienia żydowskiego w Polsce przed wojną i w czasie okupacji. „Major Hubert z Armii Andersa” jest najodważniejszą i najuczciwszą z prób ukazania tragedii Polaków na emigracji. Mimo to nigdzie, poza „Józefowem” i „Koniem”, w żadnym z o wiele z doskonałszych, późniejszych utworów Rudnickiego nie ma prób wyjścia poza tryzmy. Nie ma prób ukazania jakichś rozwiązań, przezycięcia pierwszego z tych zagadnień. Jeśli chodzi o drugie, to w zakończeniu „Huberta” natrafiamy na zdanie: „Sa sprawy, które nie wyczerpują się w życiu. Pozostaje gorzka reszta, dla której gdzieś miejsce jak nie w sztuce?”

Przeciwkiem Huberta, namawiającym go do powrotu do kraju, nie jest człowiek, budujący z pełną świadomością nową, polską rzeczywistość, lecz artysta, chwiejny i miękki. A przecież artysta, nie pozostaje ponad przeciwnościami! U Rudnickiego również w „Pięknej Sztuce Pisania” — artysta rozstrzyga. Z trudem i oporami przechyla się na stronę „rewolucjonistów”.

„Jeśli nawet mówią ciężko, jeśli nawet mówią nieopornie i popielnają tysiące pomyłek, jeśli nawet nie mają racji — gdyż być może, że sztuka, że jej sens zawarty jest w samym słowie, które się raz po raz zaciera, skutkiem czego wypływają nie do niej przynależne żądania, bo cóż w końcu ona temu winna, że świat nie ma wyższej legitymacji bytu, — jeśli, powtarzam, nie mają nawet racji, to jakże nie słuchać ich, jakże ich nie kochać nam, którzyśmy widzieli apokalipsę...”

To trudne i niepełne rozstrzygnięcie jest zamienne. Nie da Rudnickiego realisty; ten wypowiedział się o wiele bardziej jednoznacznie i zdecydowanie, lecz dla ideologicznych derywacji komplikujących jego pisarskie widzenie świata.

(Dokończenie na str. 4)

TADEUSZ BOROWSKI

EIZDGIN i AKYREMA

P EWNIEM emigrant angielski nazwiskiem Higgs, poszukując w ubiegłym wieku majątku w koloniach brytyjskich, zabrał z sobą pewnego raju do kraju o dziwnej nazwie: Eizdgin. Kraj ten był częścią wyspy leżącej na Oceanie Spokojnym. Odgręzali go od świata niebotyczne góry, niezgłębione bagna i zdradliwe rafy korale. Kraj Eizdgin zamieszkiwali biali ludzie, ale kierowali się oni dziwnymi prawami i obyczajami moralnymi. Chorobę, smutek i nieszczęście uważano w Eizdgin za przestępstwo kryminalne. Wyrok był tym surowszy, im bardziej chory lub nieszczęśliwy i przynębiiony był pod sądny.

Pan Higgs był świadkiem procesu człowieka, któremu umarła żona, zostawiając mu troje nieletnich dzieci. Obrona usiłowała przekonać sąd, że oskarżony nigdy nie kochał swojej żony, ale zalał się zupełnie podczas zeznań świadków oskarżenia. Zeznali oni, że małżeństwo kochało się ogromnie i że oskarżony, rozmawiając z nią o umarłej, pisał żalność i rozpaczliwie. Ławnicy orzekli po krótkiej radzie, że oskarżony jest winny przestępstwa „bycia nieszczęśliwym”, ale wnosili zarazem o łagodniejszy wymiar kary, zważywszy, że przestępca może być w pewnej mierze uważany za człowieka szczęśliwego. Ubezpieczył on życie swojej żony i chociaż usiłował zaledwie dwie raty — Towarzystwo Asekuracyjne wypłaciło mu w całości premię stanowiącą znaczny majątek.

„Stopień szczęśliwości człowieka będzie zawsze ustalony przez wloty i upadki kursów na giełdzie i przez brutalną siłę człowieka — powiedział sędzia, uzasadniając wyrok — lecz prawo nasze zabrania, aby człowiek był nieszczęśliwym ponad pewną

miarę. Kodeks karny przewiduje wyrok sześciu miesięcy ciężkich robót, jednakże obniżam panu karę do trzech miesięcy robót z zamianą na grzywnę wynoszącą ćwierć sumy wyplaconej przez Towarzystwo Asekuracyjne”. Oskarżony zapłacił grzywnę, gdyż, jak powiedział, nie miał nikogo, kto by mógł zadbać o jego dzieci.

Skazując na więzienie ludzi chorych, Eizdginowie leczyli złodziei, defraudantów i morderców. Pan Higgs zamieszkał w domu pana Nosnibora, który był bogatym bankierem i miał dwie córki. Pan Nosnibor obszedł się parę razy lekko myślnie z sumami powierzonymi mu przez biedną wdowę — i zaniedbał leczenia. Z czasem choroba pana Nosnibora przybrała na sile: zaczął defraudować coraz więcej i częściej. Wreszcie bankier postanowił poddać się kuracji lekarskiej. Doktor — jeden z najlepszych i najświetniejszych lekarzy w stolicy — pocięził bankiera, że nie jest tak źle ze zdrowiem i po trokskłym zbadaniu przepisał mu skuteczną kurację. Pan Nosnibor miał zwrócić Skarbowi Państwa dwa razy tyle pieniędzy, ile zdefraudował, przez pół roku zachowywać dietę mleczną, przez rok podawać się raz na miesiąc ostrej chleście, którą przeprowadzał jego lekarz domowy.

„Widziałem go po jedenastej chleście — pisze pan Higgs. — Był posiniaczony i obolały, ale musiał się stosować do zaleceń lekarza. Prawa sanitarne w Eizdgin są bardzo surowe i jeżeli lekarz nie jest zadowolony z pacjenta, wtedy wysyła go do szpitala miejskiego (gdzie leczą ubogich), w którym panuje znacznie surowsza dyscyplina”.

Ostatecznie pan Nosnibor wyleczył się z defraudacji, wdowa zaś, której pieniądze ukradł bankier, została aresztowana przez prokuratora ścigającego oszukanych i zawiedzionych, nie przeboleła jednakże straty swego skromnego majątku i umarła

z żalu, uniknawszy śledztwa, sądu i surowej kary.

Wprawdzie pan Higgs dziwił się poglądom etycznym i filozofii Eizdginów, ale powoli przyzwyczajał się do ich sposobu życia. Pozyskał miłość pięknej Arowhony, córki bankiera Nosnibora, i na pewno zostałaby jego spadkobiercą, gdyby nie oskarżono go o sprowadzenie krwawej rewolucji społecznej. Pan Higgs przywiózł bowiem ze sobą do państwa Eizdgin srebrny zegarek kieszonkowy.

II

Dzisiaj, kiedy misje chrześcijańskie dotarły do najdalszych zakątków wyspy Eizdgin, nikt już nie uważa siebie niebezpieczeństw posiadania srebrnego zegarka kieszonkowego, ale sto lat temu, w epoce podróży pana Higgsa, surowe prawa antymaszynowe karaly śmiercią ukrywanie i produkowanie maszyn. Nie znaczy to wcale, że państwo Eizdgin nie znało przykrości i wygód cywilizacji przemysłowej, przeciwnie! Na pięćset lat przed Europą Eizdginowie mieli maszynę parową, koleje, dynamy i armaty, jednakże krwawa wojna domowa maszynowców z antymaszynowcami, która wybuchła z żywiołową nienawiścią i spustoszyła kraj, zakończyła się wyrznięciem maszynowców, zniszczeniem wszelkich maszyn i wydaniem surowych praw przeciw ludziom, którzy zamiast w ewolucji człowieka wierzga w ewolucję maszyn. Uczeń „antymaszynowy” bystro dostrzegł niebezpieczeństwo grożące od strony maszyn.

„Zaden rodzaj stworzeń w dziejach nie rozwijał się szybciej od maszyn. Czyż nie należało go uważnie obserwować i zalamować w momencie, gdy jeszcze można było zrobić? I czyż nie należy zniszczyć bardziej rozwiniętych maszyn, których teraz używamy, chociaż same w sobie nie są one szkodliwe?”

„Jak dotąd — mówi dalej traktat uczonoego profesora eizdgińskiego — maszyny odbierają wrażenia do pośrednictwem zmysłów człowieka; jedna błędną maszyną ostrzega drugą krzykiem i tamta natychmiast się cofa, lecz tylko dzięki uszom maszynisty głos pierwszej dociera do dru-



Eugeniusz Elbisch — obraz odznaczony nagrodą Prezidenta Rzeczypospolitej na ogólnopolskiej wystawie w Radomiu

giej. Kiedyś wydawało się nieprawdopodobne, aby maszyny nauczyły się wyrażać swoje pragnienia dźwiękiem, nawet za pośrednictwem uszu człowieka; czyż nie możemy przypuścić, że nadejdzie kiedyś dzień, gdy uszy te staną się zbyt czułe i maszyna będzie słyszała dzięki subtelnej konstrukcji własnym, gdy język maszyn przekształci się z okrzyków zwierzęcych w mowę równie skomplikowaną jak nasza?”

Szczęśliwe państwo Eizdgin! Produkcja przemysłowa nie spowodowała przyrostu ludności, nie wywołała walk klasowych, nie stworzyła proletariatu, akumulacji kapitału i wojen imperialistycznych. Wyspa Eizdgin była wzorową demokracją opartą na prywatnym posiadaniu środków produkcji i bogactw naturalnych; było to państwo kapitalistyczne bez proletariatu, którzy zamienili się w antykwarium. Jedynie w starych antykwariach można było napotkać ludzi, którzy umieli konstruować maszyny i wiedzieli, jak z nich korzystać. Uratowali oni od śmierci pana Higgsa: pomogli mu skonstruować balon, którym pan Higgs postanowił wzniesić się do nieba, aby uprosić bogą pogodę o deszcz.

W istocie jednak, ukrywszy w gondoli ukochaną Arowhony, pan Higgs uciekł balonem z dziwnego kraju Eizdgin. Pogoda była piękna, dał silny, zimny i przenikliwy wiatr, geste obłoki otuliły balon. Przeszedł dzień i nastała noc, podróżnicy przestali liczyć godziny, wreszcie zabrakło jedzenia. Arowhona spała znużona i zbiegnięta na dnie kosza, pan Higgs zemdlał z przerażenia, ale zimno go ocucilo. Wreszcie balon zaczął się zniżać, obłoki się przerzedziły, zajaśniało czyste niebo, kosz zaczęli o zielone drzewo, wiewją drogą bieglu ku balonowi ludzie. Staniając się z wyczerpania i podtrzymując ramieniem ukochaną Arowhony, pan Higgs zapytał tubylców po angielsku: „Gdzie jesteście?” „W dziwnym kraju Akrema!” — odpowiedzieli chórem tubylcy. Jeden z nich, starszy i lepiej ubrany, przysunął się do podróżników i zapytał: „Czy ma pan coś do sprzedania? Może srebrny zegarek?”

Wtedy pan Higgs znowu zemdlał z przerażenia.

Przepraszam Czytelnika, że nużę go tak długim i drobiazgowym opisem podróży pana Higgsa, ale muszę wyznać, że widzę coś wielkiego w jego losach. Może oprómienia go wiara w rozum człowieka? Może uszlachetnia go odważna obrona ludzkich praw? Może osłania go jego zapobiegliwość i pracowitość?

Osobieście lubię i podziwiam pana Higgsa. Przyzwyczajony do ślimaczego życia w Eizdgin, pan Higgs wyładował nagle w państwie, które przekształcało się z niestęchaną szybkością. W Akremie stulecia były dniami, a epoki przemijały w ciągu tygodnia. Akrema była nowym łądem, niedawno odkrytym przez Europejczyków, ale zaledwie pan Higgs zdążył sobie jako tako zapewnić egzystencję, wyrabiając kawałek lasu na zachodzie i zabijając kilka setek czerwonych tubylców, gdy na plantacje bawelny, leżące na południu Akremy, i do fabryk oraz kopalni, znajdujących się na północy, sprowadzono około stu milionów Murzynów do pracy, którzy zresztą zaraz ginęli od głodu, bicia i wyczerpania. Kłedy pan Higgs dobił się zasobnej farmy rolniczej, północ gwałtownie się uprzemysłowiła i zażądała zniesienia niewolnictwa na Północy, aby w ten sposób pozyskać taniego robotnika. Północ z pogardą odrzuciła to bezprawne i niezgodne z Biblią żądanie. Gdy piękna Arowhona powita pana Higgsa pierworodnego syna, przemysłowa Północ Akremy wypowiedziała wojnę Północy, która trwała kilka lat i spustoszyła cały kraj. Północ obiecywała Murzynom zniesienie niewolnictwa, parcelację majątków ziemskich, reformę rolną i pełne prawa obywatelskie. Północnie wojnę przegrała, ale plantacje zostały nienaruszone. Murzyni uzyskali wolność, przestali być towarem wystawianym na sprzedaż na rynkach miast akrykańskich, lecz za to nie mieli co jeść. Część ich poszła do fabryk Północy, reszta wróciła na plantację, gdzie wprowadzono nowy rodzaj niewolnictwa: długoletnią pracę za długi i pożyczki. Indywidualna własność niewolnictwa została zamieniona we własność zbiorową za pomocą umów między właścicielami plantacji i farm.

(Dokończenie na str. 4)

NIEPOPRAWNOŚĆ TRIUMFUJĄCA

Wróćmy jednak do „Ucieczki”. Z dawnych utworów obok „Józefowa” znajdujemy tu, drukowany w roku 1941 w „Nowych Widokach” a później wydany oddzielnie w roku 1946, „Wrzesień”, przemianowany obecnie na „Blic”. Mam do autora lekką pretensję o tę zmianę tytułu, uważam ją za dość zmienną dla pewnych przemian zachodzących w stylu Rudnickiego. Nie wszystkich: na przykładzie opowiadań zestawionych w „Ucieczce” nie trudno stwierdzić, jak bardzo styl ten rozwija się, komplikuje, wzbogaca, równoległe do komplikacji i rozwoju waleń konstrukcyjnych jego opowiadań. Wystarczy zestawzić prosty, konwencjonalny schemat „Józefowa” czy „Konia” (nie mówiąc o czysto pamiętnikarskim „Wrzesniu”) z bogatą, wielowarstwową strukturą „Koneckiego” czy niezwykłą, pasjonującą nowością problemu i jego ujęcia w „Ucieczce z Jasnej Polany”, aby zdać sobie sprawę z postępu techniki pisarskiej Rudnickiego.

Styl jego już przed wojną niezwykle indywidualny, wystrzaśny, nabiera drażliwości, odrzuca rozwiązania konwencjonalne. Znamienne jest pod tym względem zestawienie dawnego „Wrzesnia” z nowym, dopisanym w roku 1946 zakończeniem tego utworu. Dawna szarość opisu służącego wyłącznie podmalowaniu tła, na którym występowały sylwetki ludzkie, ukazane w żywych dialogach i dosadnych charakterystykach, zastępuje opis błyskotliwy, pełen niespodziewanych i niezwykłych sformułowań: „Wyszedłem na dwór. Mógł jak kłajstrzem zlepięny odzyskać ruchomość. Niebo stało w czerwieni. W powietrzu cedziły się składniki, które obiecywały dzień jak włosy anielskie. Na wosach traw wleciały kolczyki dżdżu. Panował jeszcze chłód, ale się czuło, iż za trzy, cztery godziny ziemia rozgrzeje się jak morelka”.

Przemian w stylu Rudnickiego nie da się oddzielić od tendencji rozwojowych jego prozy w ich ujęciu najszerszym, ideologicznym. Dochodzi w niej do głosu i rozkwita „piękna sztuka pisania”. Pogłębia się odrębność, niezwykłość, niekiedy wręcz dziwaczność. Rok temu w recenzji o „Szelespirze” pisałem o „triumfującej niepoprawności” Rudnickiego. Czasem bywa on kapryśnie nieścisły. Letnisko Józefów jest u niego „brzydkie jak ulica Przeskok”. Dlaczego właśnie Przeskok? Było to sto brzydziej ulic w Warszawie. Przeskok był czysty, jednolicie choć banalnie zabudowany „a nade wszystko krótki. Ale Rudnickiemu nie podobał się właśnie Przeskok. Niemcy wjeżdżający do Modlińska są u niego „zieloni jak muchy”. Ktoś, kto widział niemiecki Wehrmacht, wyobrazi sobie doskonale jakieś kaśliwe muszkioty z zielonawymi, polyskach, ale komuś, kto nie widział mundurów feldgrau, trudno będzie zrozumieć to porównanie.

Wracając do „Wrzesnia”, słowo to nabrało w odczuciu każdego człowieka w Polsce określonego sensu. Ale Rudnickiemu nudził się „Wrzesień”. Zastąpił go „Blicem”, obcym słowem, które ma szersze i ważniejsze znaczenie. „Blic” jest mniej precyzyjny, dotyczy nie tylko naszej wojny wrzesniowej. Słowo to do polskiego języka nie przeszło, nie jest mu potrzebne, a jako metafora ma o wiele mniejszą pojemność. „Wrzesień” do pamiętnika Rudnickiego pasuje. Jest to utwór prosty i piękny, pełen miłości do prostego człowieka, bardzo uczuciowy i bardzo poiski. „Nasza literatura o Wrzesniu nie jest bogata” — pisze Rudnicki na wstępie do swej prozy. Istotnie. Jurna blaga Zukrowskiego w „Lotnie”, parę niedarmych i nudnych pamiętników, i nie wiele więcej. Opis Wrzesnia w utworze Rudnickiego pozostanie natomiast jako trwałe pozycje w naszej literaturze. Jego uczuciwy realizm przebiega się zwycięsko przez osobisty, pamiętnikarski styl opowieści. Człny z „Wrzesnia” głęboko wzruszający i wierny dokument historii.

SEBASTIAN I RAISA

Spośród pięciu opowiadań, zawartych w nowej książce Rudnickiego, tylko dwa ściśle łączą się z latami zagłady i ich problematyką. Jednym z nich jest drobny szkic „Uśmiech żandarma” o dużej war-

tości zarówno artystycznej, jak dydaktycznej, bolesny protest przeciwko wykorzystywaniu i podsyceanej przez okupanta plażę alkoholizmu. Drugim — duża nowela „Wniebowstąpienie”, nad którą wypadnie nam zatrzymać się dłużej.

„Wniebowstąpienie” powraca do tematu najczęstszego w powojennej twórczości autora „Lata”, do sprawy martyrologii żydowskiej w Polsce. Porusza jej problem najtragiczniejszy: problem psychicznego uderzenia człowieka skazanego na odciecie od życia w społeczeństwie i przymusową bezczynność, oraz problem ratowania się ludzi jednych kosztem drugich, w tym wypadku zony kosztem obłąkanego męża. „Wniebowstąpienie” należy do najdawniej ważniejszych a zarazem do najbardziej dusznych, zięjących pesymizmem opowiadań Rudnickiego. Pod pewnym względem przypomina dawny, przedwojenny jego utwór „Niekochana”. Podobnie jak w „Niekochanej”, występuje tu para oddanych sobie ludzi i tak jak tam (a odwrotnie niż np. w „Czystym Nurcie”) autor sympatycznie kieruje ku postaci kobiecej, która uosabia we „Wniebowstąpieniu” czystą atmosferę moralnej siły, poświęcenia i bohaterstwa. Mąż Raisy Sebastian, posiadający — trzeba to zaznaczyć — usprawiedliwienie jego postępowania — o wiele gorsze warunki przetrwania w latach okupacji (tzw. „zły wygląd”), jest kapryśnym neurastenikiem, naraża ją, siebie i innych, a w końcu pada pastwą obłądki, który mimo niesamowitego wprost szczęścia, jakie mu towarzyszy — w końcu go gubi. Sebastian ma wiele cech Kamila z „Niekochanej”. Podobnie jak Kamil zadręcza oddaną sobie kobietę, zachowuje się w stosunku do niej niedelikatnie (scena z wypłutem cukierkiem) i egoistycznie. Mimo to autor okazuje mu wiele przychylności. Każę nam wierzyć, wraz z zakochaną w nim Raisą, że jest to człowiek zdolny i wartościowy. Przeniwstawa go w sensie poniekąd dodatnim bogatemu afezycie, Wokowowi, jednej z trzech postaci opowiadania, której uroje się uratować życie.

Co do Sebastiana — podejrzewamy (nieświadomie z przyzwoleniem Rudnickiego — realistę), że reprezentowane przez niego wartości są złudzeniem. Rudnicki — realizista pokazuje nam, że bohater jego, zanim pada ofiarą swej choroby, jest dość pospolitym typem drobniomieszcza. Ona też szychywego inteligenta. Gdyby nim nie był — znalazłby się zapewne w jednym miejscu, w jakim się znalazła większość ludzi w jego sytuacji, po przewyżczeniu drobniomieszczańskiej bierności: byłby w partyzancie. Sytuacja osobista nie utrudniała lecz ułatwiała mu tego rodzaju decyzje.

Mamy ochotę zapytać, dlaczego Rudnicki — realizista nie otworzył przed nim tej możliwości i nie rozstrzygnął — w spo-

sób pozytywny lub negatywny. Ukazanie perspektywy znalezienia właściwego sensu tragicznej egzystencji bohatera „Wniebowstąpienia” mogłoby się stać przełomem w okupacyjnej tematyce Rudnickiego, podobnym do tego, jaki starożytni „Kon” czy „Józefów” w dawniejszej jego twórczości. Brak owej perspektywy sprządażę trągnął Sebastiana do ram o wiele większych, kaze nam nie tylko współczuć z bohaterem zdawanym przez przemoc wrogą ludzkości, ale także litować się nad nieszczęśliwą ofiarą własnej siabości, ciuwaictwa, patologii.

W tej sytuacji główną bohaterką „Wniebowstąpienia”, na której skupia się pełna nasza sympatia, staje się też siłą rzeczy Raisa. Jej losów ciekaw jesteśmy bardziej niż losu Sebastiana, który wydaje się przesądzony. Widzimy w niej wartości, w których zwycięstwo pragnimy wierzyć, i żal nam, że autor z losem Raisy łączy się trochę po macoszemu, kazać przy końcu triumfować złu w osobie Wokowa oraz ślepiemu przypadkowi. Nie jest to oczywiście żal beznamienię ocenającego rzeź krytyki, który musi podziwiać realizm, bogactwo obserwacji i logikę konstrukcji doskonałego opowiadania. Jest to żal czytelnika, którego bezpośrednia reakcja i żywe obcowanie z losami bohaterów Rudnickiego jest chyba największym triumfem pisarza.

DRAMAT KLAUSA HOFERA

Zamykająca książkę Rudnickiego „Ucieczka z Jasnej Polany” jest bezwzględnie najdoskonalszym opowiadaniem w całym tomy, a może również najdoskonalszym utworem autora „Szelespiry” w ogóle. Imaginacyjne przedłużenie dzieł postaci wielkiego pisarza niemieckiego, której przetrwałym prototypem jest autor „Czarodziejkiej Góry”, posłużyło Rudnickiemu za pretekst do poruszenia najbardziej kluczowych, społecznych i moralnych zagadnień współczesności, zawieszonych dokoła problemu dzisiejszych Niemiec. Zagadnienie to występuje na tle konfliktu, jaki przeżywa wielki pisarz, dwouletni emigrant i sumienie niemieckiego narodu w związku z otwartą na nowo możliwością powrotu do kraju rodzinnego.

Rzeczywisty Tomasz Mann, jak wiadomo, do Niemiec nie powrócił. W Europie był tylko raz, na kongresie PEN-klubów w Szwajcarii. Ten przyjazd pisarza do Europy stał się dla Rudnickiego punktem wyjścia w jego opowiadaniu. Jego Klaus Hofer po kongresie i zetknięciu się z pisarzami niemieckimi, wśród których znajduje się między innymi również i jego syn, Teodor, bliski jest myśli o powrocie do kraju. W ostatniej chwili sprawia jednak zawód najbliższym: jedzie do Polski obejrzeć miejsca wielkiej kaźni narodów, po czym spotyka się z synem w Paryżu.

WALKA KLAS W FILOZOFII

(Dokończenie ze str. 2)

W tej chwili przeżywamy na naszym froncie kultury w ogóle a także na odcinku filozofii zalew kosmopolityzmu. W filozofii działa przede wszystkim kosmopolityzm walczący. Jego oblicze polityczne jest jasne, jego partyjny charakter jest wyraźny. Ten kosmopolityzm pod szyldem „bezparyjnego” nauki uprawiają jedni nieświadomie, inni świadomie. Tym ostrzej musi stanąć sprawa partyjności nauki w ogóle, filozofii w szczególności. By otworzyć oczy tym, którym jeszcze można je otworzyć; by zdechrz maskę „bezparyjności” z tych, którzy noszą ją obłudnie w wyraźnych celach politycznych.

Taka jest droga walki o postępową ideologię, droga walki z wstecznictwem w konkretnych warunkach historycznych. Takie są wnioski, które wysnuć musimy z lenińskiej tezy o partyjności filozofii. Taka jest współczesna wymowa „Materializmu i empiriokrytycyzmu”.

Adam Schaff

W następnym numerze OCENA FESTIWALU MUZYKI LUDOWEJ

Od redakcji. Polskie wydanie „Materializmu i empiriokrytycyzmu” ukazuje się wkrótce, nakładem Spółdz. Wyd. „Książka i Wiedza”.

Pan Higgs lubił przysłuchiwać się poprosom oratorskim mówców murzynskich. W istocie, okres walki z niewolnictwem w Akryemie był okresem złotych retorów. Ale profesja Otella skończyła się wraz z emancypacją Murzynów (która miała doprowadzić do emancypacji Pana Boga) i wtedy okazało się, że również Murzyni wytworzyli własną burżuazję, która utrzymywała się z pasyżowania na gettach murzynskich, oraz własną inteligencję rozdzieraną problemami moralnymi; wytworzyli również własną klasę robotniczą, przenikniętą ideami socjalizmu i komunizmu.

W kraju Akryema dbano bardzo o rozwój wewnętrzny jednostki; dlatego nie krepowano zupełnie jej inicjatyw ekonomicznej, która nie podpadała pod ustawy prawne; natomiast surowo karano działalność polityczną, skierowaną przeciw swobodzie jednostki.

Pan Higgs, który z zapalem antropologa badał poglądy polityczne Akryemianów (niestety, straciwszy majątek w kryzysie 1932 roku, wyżył się również obiektywizmu i poczucia hierarchii; malując na chodniku obrazy dla jałmużny utrzymywał, że jest artysta) — był świadkiem rozpraw sądowej, w której zagadnienia ekonomiczne zastąpił problemem matrymonialnym. Robotnik Angelo Herdorn, Murzyn ze stanu Ohio, został w roku 1932 aresztowany w stanie Georgia pod zarzutem, że podczas kampanii wyborczej przewodził pochod białych i czarnych bezrobotnych, a ponieważ naruszył prawo z 1861 roku, które zabraniało wystąpić przeciw niewolnictwu, został stawiony przed sąd i skazany na dwadzieścia lat więzienia. Podczas przewodu zeznawał ekspert od komunizmu, profesor T. J. Corley z uniwersytetu w Emory, powołany przez obronę.

Prokurator, wieloebny Hudson, zapytał: — Pani doktorze, czy zna pan program komunistyczny w wyborach 1932 roku?

— Częściowo znam — odpowiedział profesor Corley.

— Czy pan godzi się na cały ten program?

Obróca zakwestionował pytanie jako zbyteczne. Sądzia Wyatt odrzucił jego protest. Profesor Corley odpowiedział:

— Godzę się na znaczną jego część. Prokurator pytał dalej:

— Czy jest panu wiadome, że program ten żąda prawa samostanowienia dla Murzynów w Czarnym Paśmie?

Czarny Pas ciągnął się przez dwanaście stanów Południa. Zamieszkiwało go pięć milionów Murzynów.

— Wiem — odpowiedział profesor Corley.

— Czy pozwoliłby pan swojej córce wyjść za mąż za Murzyna?

W ten sposób problem matrymonialny zastąpił zagadnienia polityczne i ekonomiczne i pomógł sądowi pogwałcić konstytucję Akryemy. Badając życie Akryemianów pan Higgs przekonał się, że znieważanie praw jest podstawą ich szczęścia i dobrobytu. Prawo każdemu obywatelowi przynajmniej jednakowe przywileje, jednakże właściciele domów i gruntów zawierają wspólnie „umowy zapobiegawcze”, zabraniające im wynajmu, dzierżawy i sprzedaży Murzynom mieszkań, domów i ziem. Jeżeli jakiś kamienicznik usiłuje, choćby ze znacznym zyskiem, odprzedać swoją posiadłość czarnemu człowiekowi, jego sąsiadzi podają go do sądu, który operując się na umowie, unieważnia akt sprzedaży. Policja usuwa Murzyna do getta, a kamienicznik płaci sąsiadom odszkodowanie za złamany kontrakt. Ponieważ jednak z biegiem czasu Sąd Najwyższy Akryemy zabronił sądom stanowym wyrokowania w tego rodzaju sprawach, jako wyraźnie sprzecznych z konstytucją, kamienicznicy i ziemianie coraz powszechniej zawierają inne umowy zapobiegawcze, zobowiązując się wynajmować mieszkania i dzierżawić ziemię osobom o określonym dochodzie pieniężnym, jednocześnie zaś ciągną ogromne zyski z domów w gettach chińskich, koreańskich i murzynskich, w których panuje potworne przeludnienie.

Pan Higgs, który wierzył w liberalizm, kapitalizm i postęp, gnebił się każdym objawem głupoty i podłości kapitalistów akryemskich i radował się ponad miarę każdym błyskiem swobody i emancypacji

człowieka. To go zabiło i stało się przyczyną wdowieństwa pięknej Arowheny oraz sieroctwa ich dzieci.

IV

Pewnego dnia, gdy pan Higgs swoim zwyczajem schylał się nad trotuaem, rysując kredką fregatę z żaglami, tłum ludzi przebiegł chodnikiem i zdeptał mu rysunek.

— Panie Higgs, chodź pan z nami! — krzyknął mu znajomy malarz z chodnika na placu Lincoln. — Sądzą naszego pastora Dickinsona!

Pan Higgs zebrał swoje przybory malarskie, starł szmatką malowidło z chodnika i podążył wraz z innymi do sali sądowej. Wielebny pastor Lloyd C. Dickinson należał do sekty religijnej w mieście Columbus, stan Ohio, która zakupiła dla niego uroczy domek na plebanii. Policja stanowa nie wpuszcila wielebego Dickinsona do mieszkanka. Plebania leżała w okręgu „białym”, wielebny pastor Dickinson zaś był Murzynem. Pastor podał policję stanową do sądu.

Sądzia przesłuchał świadków zaprzysiężonych na Biblię, po czym zaczął cierpliwie tłumaczyć wielebemu pastorowi, że prawo naprawdę zabrania Murzynowi mieszkać poza gettem, chyba że jest on sługą białego człowieka.

— Ach, więc to tak! — wykrzyknął pastor Dickinson, błyskając z oburzeniem białkami. — Gdybym był sługą białego człowieka, to mógłbym mieszkać na plebanii! Ale nie mogę na niej zamieszkać, chociaż jestem sługą Pana Boga!

Sądzia, dobroduszny i mądry człowiek, usmiechnął się z pobłażaniem.

— Czy mógłby Pan dowiedzieć sądowni, że Pan Bóg jest białym człowiekiem? — zapytał dobroliwnie i zatwierdził sądownie postępowanie policji.

— Ależ Pan Bóg jest białym człowiekiem! — krzyknął oburzony pan Higgs, rzucając w pasy przyrządy malarskie.

Niech o tym rozstrzygnie Sąd Najwyższy — powiedział obojętnie sądzi. — Ja nie jestem zupełnie przekonany.

Całe miasteczko Columbus wybrało się do Waszyngtonu na rozprawę w Sądzie Najwyższym, zasiadło na balkonie i z na-

pięciem czekało na decyzję ostatniej instancji prawnej. Wrzesień sądziowie zjawili się na sali i zajęli miejsca.

Sąd Najwyższy Akryemy — powiedział sądzi, nałożywszy na nos okulary — postanowił unieważnić decyzję sądu stanowego jako sprzeczną ze stanem faktycznym.

Niech żyje prawo! — krzyknęli mieszkańcy miasteczka Columbus.

Niech żyje Akryema! — W ten sposób — mówił sądzi, podnosząc uroczysty głos — Sąd Najwyższy Akryemy raz na zawsze podniósł Pana Boga do godności białego człowieka.

Wszyscy powstałi, klaszcząc i śpiewając hymn narodowy. Pan Higgs uczył łyżki dumy w oczach, wychylił się przez balustradę, chciał krzyknąć „Brawo!”, ale stracił równowagę, przekoziołkował parę razy w powietrzu, runął między krzesła i zabił się na miejscu.

Muszę prosić Czytelnika o przebaczenie, ale zdaje mi się, że pamięć mnie zawiodła. No, oczywiście! Przecież u Samuela Butlera, który zostawił dokument podróży pana Higgsa po kraju Elzdgin (Erehwon, Londyn, 1872), dzielny emigrant osiadał na oceanie, spotyka stątek włoski, ładuje w Anglii i ozdabia londyńskie chodniki. Butler, który uważał siebie za filozofa, marzył o feudalnym społeczeństwie kapitalistycznym bez konfliktów klasowych i groźby rewolucji. Kiedy jednak zamienił klasę robotniczą w antykwariusz, odpowiedzialność za zło społeczne zrzucił na skrzywdzonych, kiedy operacji giełdowych kazał dokonywać przy dźwiękach muzyki a defraudantów i spekulantów leczyć w szpitalu — wtedy srebrny zegarek pana Higgsa stał się niebezpiecznym zarzewiem buntu.

Właściewie Stany Zjednoczone, dokąd przez pomyłkę zawędrował pan Higgs, są bardzo podobne do kraju Nigdzie: utopia kapitalistyczna przekształcała się w państwo krwawych absurdów, nienawści rasowej i natchnionych misjonarzy, prawa i lynchu, wyzysku i równości.

Opowiadając o panu Higgsie, myślałem, że podróże kształca. Ale widzę teraz, że

inne, ale te, które godzą w niego samego, zarucając mu obojętność, brak miłości do rodzinnego kraju, niedocieranie do istoty człowieczeństwa.

Pełno rekwizytów niemieczyny w swoich książkach, ale nie ma człowieka — wola młody Teodor Hofer. — „Nie posiadłes tej sztuki: która tak nas zachwyca u Rosjan. Przez całe życie byłeś właściwie stylistą”.

Nie po raz pierwszy u Rudnickiego do nosie problemy narodowe i ludzkie łączą się z zagadnieniem sumienia pisarza. Podobnie jak niedgdy w „Pięknej sztuce pisania”, tylko mocniej, bardziej zdecydowanie wypowiada się autor za prawdziwym humanizmem — przeciw estetyzmowi „Rzeczy, robione na styl” — nie przechodzą przez tamę historii. Przez tamę tę przodostaje się jedynie nagi ładunek, który z czasem sam staje się stylem! „Podczas drugiej wojny światowej — pisze Klaus Hofer czworonym okółkiem w swoim pamiętniku — naród niemiecki nie cofnął się wół drogi, zaszedł daleko, dalej już nie można, a jednak pozostał po dawnym porządku, tego porządku. Niemcy nie zrozumieli i nigdy nie zrozumieją tego, co uczynili. Klaus Hofer jest jednym z nich. Dlatego nie był i nigdy nie będzie podobny do wielkich Rosjan. Jest i pozostanie tylko europejskim stylistą...”

W dialogu Klaus z Teodorem Rudnickim świadomie przesuwa częściowo akcenty zrozumienia i sympatii, akcenty ludzkie, z ojca na syna, stara się obdzielić ich nimi w stosunku niemal równym, zmniejszyć nasze uprzedzenie względem człowieka broniącego niewdzięczne sprawy pokonanych Niemiec. Czyny to nie tylko wprowadzając nas w świat wewnętrznej rozterki starego pisarza. Osaga to przede wszystkim, czyniąc właśnie Teodora wyrazicielem poglądu mającego za sobą zaradniczą słusność, poglądu, że miejsce niemieckiego pisarza — antyfaszysty znajduje się w kraju.

Czy jednak młody Hofer jest antyfaszystą konsekwentnym? Można mieć co do tego jak najbardziej uzasadnione wątpliwości. Przeczy temu przede wszystkim jego ujawnione na samym początku dialogu zawzięte nastawienie antypolskie. Poroznie tylko, broniąc Niemców i wskazując na to, że narzędziem metod hitlerowskich byli także Polacy, występuje on przeciwko tendencjom faszystowskim w ogólności. „Miał tupeć dziennikarza i pióro dziennikarza” mówi o nim Klaus Hofer. — „Wystarczyło mu przeczytać dwie książki albo zebrać kilka luźnych wiadomości, aby mówić o kulturze obcego narodu”. Tak tylko słowami ojca nasławiła Rudnicki stanowisko młodego Hofera.

„Ale my wiemy, że nie tylko o to chodzi. Młody Hofer mieszka w brytyjskiej strefie Niemiec. Przyjacielem jego jest redaktor wychodzącego w zonie brytyjskiej periodyku „Die Brücke”. Droga, która idą dwaj młodzi niemieccy pisarze, jest nam dobrze znana. Przewidujemy jej dalszy bieg. Możemy też w tej sytuacji domyślić się, dlaczego stary Hofer, wielki humanista i niewątpliwie antyfaszysta, mimo iż daleki od ujmowania zagadnień niemieckich w jedynie słusznych, klasowych kategoriach, do kraju swego powrócił nie chce.

Bezbłędnie i mistrzowsko pod względem artystycznym przeprowadzona akcja „Ucieczki z Jasnej Polany” ma wymowę zupełnie przejrzystą i postawionej tutaj przez nas „kropki nad i” absolutnie nie wymaga. Mimo to stwierdzić trzeba, że mogłaby być ona błędnie odczytana przez mniej wyrobionego czytelnika. Mogłby on stanowisko autora, którego główny bohater postanawia do Niemiec nie wracać, uznać za jakies absolutne, historyczne pojęcie Niemiec jako narodu. Mogłby też, odwrotnie, przejąwszy się niektórymi argumentami młodego Hofera, uznać je za własne wypowiedzi Rudnickiego. Przejście od prawdy do fałsu stanowi tu, wśród wielkich, trudnych do rozwiązania zagadnień, często jeden krok zaledwie. Jest sprawą wielkiego talentu i wielkiej mądrości pisarskiej Rudnickiego, że umie w tym niezwykle, odważnym temacie nie postawić owego fałszywego kroku, osiągnąć w „Ucieczce z Jasnej Polany” pełnię prawdy historycznej i psychologicznej. Ryszard Matuszewski

KAZIMIERZ BRANDYS

POLACY Z „POD WIERZBY”

Jesienną 1918 roku, wracając z Ziemi Odzyskanych do Warszawy, zatrzymałem się we Wrocławiu. Miasto, mimo zniszczeń, wydało mi się piękne i pełne nowych treści; zostałem więc parę dni. W przeddzień wyjazdu wygłosiłem odczyt o literaturze. Po odczytaniu poszedłem z grupką słuchaczy i organizatorów do kawiarni „Teatrjalnej”. Rozmawiając o tym i o innym dowiedziałem się, że jednym z najbliższych działaczy Partii we Wrocławiu jest mój dawny znajomy, Tolo Szarlej.*

Odnalazłem go tego samego dnia. Nie będę opisywał naszej paragonicznej rozmowy, w której od starych czasów i nieżyjących ludzi szybko przeszliśmy do teraźniejszych, gorących jeszcze spraw. Rozmawialiśmy do późna. Kiedy odchodziłem, podając mi rękę, wymyślił się przez długi chwila, a potem powiedział: — Mam do was proszę... Wygląd z szuflady biurka niewielką paczkę, owiniętą w papier pokryty pocztowymi stemplami i położył ją przede mną. Był to pamiętnik mego starszego brata.

Wyjaśnił, że przysłał mi go parę tygodni temu Polski Komitet Pomocy Emigrantom z Johannesburga w Afryce Południowej. List dołączony do paczki informował, że zawartość została wysłana „na zlecenie rodziny”. W liście były podobno jakieś wiadomości o Julianie Szarleju, którego Tolo przemilił. Znał go do wiadomości, że nie należy o nie pytać. Długo też do dzisiaj nie mam powiadomości, czy jego brat żyje, gdzie przebywa i jak mu się powodzi.

Prośba była następująca: w Warszawie pracuje Wacław Pankrat, działacz robotniczy, czynny w Komisji Centralnej Związków Zawodowych. Miałem mu go przynieść, wręczając wspomnianą paczkę. — To mój przyjaciel — wytłumaczył Tolo — zależy mi na tym, żeby przeczytał ten pamiętnik. Poprosi, żeby wczekał chwila, poczem skierował parę zdań na chwytce papieru i włożył ją do koperty. — Oddajcie mi i to — doruczyć. Gdy byłem już przy drzwiach, zatrzymał mnie raz jeszcze i powiedział, że jeśli wam miła czas i ochota, upowiadam się również do przeszerzenia tych notatek. — Wszelkie ludzkie sprawy są wam, pisarzem, bliskie — mówił w zamysłieniu — a tego, który to pisat, nigdy już nie spotkacie. — Podziękowałem mu i wyszedłem.

Pankrata spotkałem w Warszawie dopiero po kilku dniach. Był na zebraniach albo w rozjadach; ludzie, których o niego pytałem, kręcili głowami: — Niełatwo od razu go znaleźć. — Wreszcie dowiedziałem się, że będzie obecny na konferencji KCZZ-u, która miała się rozpocząć w początkiem tygodnia.

Kiedy podczas przerwy wszedłem na salę obrad, wskazało mi go natychmiast. Stał wraz z kilkoma innymi przy końcu stołu, pokrytego czerwonym sukniem, i pochylał nad papierami, szybko notował na marginesie, wymieniając jakieś uwagi z otaczającymi go ludźmi. Na sali panował ruch i gwar, nie chciałem przeszkadzać, więc przysiąknąłem obok, czekając — na dogodną okazję.

W pewnej chwili Pankrat podniósł głowę, spotkałem jego wzrok. Wtedy poszedłem bliżej i, tłumacząc o oo chodzi, wręczyłem paczkę. Wziął ją i obracał przez chwilę w rękach. — Jest jeszcze list — wyjaśniłem. I dałem mu list od Tola Szarleja. Przeczytał go przez minie, a potem spytał o mój adres. — Może pogadamy w wolnej chwili — powiedział. Znowu obracał paczkę w rękach zagadnął, czy znam jej zawartość. — Znam i czytałem — odparłem. Pankrat spojrział na mnie uważnie, po czym powtóżył, że w wolnej chwili chciałby się ze mną spotkać. Podałem swój adres i numer telefonu, pod którym można było mnie zastać. Gdy wychodziłem, on już stał, jak przedtem, pochylał nad stołem, wskazując końcem ołówka jakiś punkt na papierze ludziami zebranym wokół niego.

Po pięciu dniach przysłał kartkę, wyznaczając mi spotkanie późnym wieczorem u siebie, na Pradze. Spędziłem całą niemal noc na rozmowie o pamiętniku i jego autorze. Pankrat był jeszcze wzbudzony lekturą i pewne fragmenty notatek Szarleja komentował niezwykle żywo. — Spotkałem tego człowieka — powiedział wskazując pamiętnik leżący na biurku — dziesięć lat później, nie działał się rzeczy, o których pisze. Czy chcecie posłuchać, jak to było?

Chodząc po pokoju zaczął mi opowiadać. Mówił szybko, zwiastami zdaniami, cofając się nieraz do dni sprzed wojny, lub czyniąc obszernie dygresje. Niektóre jego myśli i zwroty zapamiętałem dokładnie, inne musiałem odzwierać z pomocą wyobraźni. Pamiętam, że rozpoczął od pytania: — Czy byliście kiedy w Paryżu?...

Czy byliście kiedy w Paryżu? Co do mnie, przyjeżdżałem tam przed wojną kilka razy. Nie w charakterze turysty, lecz żeby spotkać się ze wskazanymi ludźmi. Miałem trochę adresów, parę miejsc, gdzie mnie znali. Na lewym brzegu i w dzielnicy, która się nazywa Levallois. A także, o ile pamiętam, niedaleko Faubourg du Temple. Za każdym razem, wyjeżdżając stamtąd, żałowałem, że nie mogę zostać dłużej. To piękne miasto, nawet dla takich jak ja, co nie mieli w nim wiele czasu na spacer. Ostatni raz byłem tam dłużej, w 37-ym. Kiedy wracałem, na granicy goście z defy rozebrali mnie do naga, szukając Bóg wie czego. Oglądali przy tym moją bliznę i jeden powiedział: — Elegancki ścieg, Pankrat. — Nie zawsze jest miło usłyszeć swoje prawdziwe nazwisko. Myślałem, że go nie znają. Drugi zapytał: — Zagraniczna robota? — Ten także mówił o bliznie. Zacząłem się śmiać i powiedziałem im, żeby przyprowadzili szwaczkę jako eksperta. Miałem mniej powodów, żeby zartować w tej sytuacji, niż oni. Mimo to zachowywali się bardziej ponuro, niż ja. Z zamknięcia wyszedłem wprost na kopanie rowów przeciwlotniczych. Była już wojna. Wróciłem do swoich spraw.

Mam niezłą pamięć ludzkich twarzy i raz spotkanego człowieka poznam w wiele lat później. Zwłaszcza przed wojną było to potrzebne, rozumiecie: każda twarz to py...

tanie — ktoś z naszych, czy obcy. Ale Szarleja, chociaż spotykałem go kilkakrotnie w różnych okresach, chyba bym go prawie nie poznał bez jego pomocy. Jeśli pominąć dawne szkolne lata w P., był dla mnie niczym więcej, jak jednym z przechodniów, któremu dałem przypalić papierosa. Tak, że gdy go znów spotkałem w 47-ym w Paryżu i kiedy powoli się na nasze zetknięcie sprzed dziesięciu lat w jakimś hoteliku koło Panteonu — rozłożyłem ręce. Dopiero potem zaczęła mi się wyrzucać jak z mgły jego ówczesna twarz. Ale mocno musiał się zmienić od tamtego czasu.

W Paryżu był wtedy Cebrowski. Słyszałem zapewne już o nim przed wojną. Nie znam się na jego specjalności, pamiętam tylko, że za uniwersyteckich lat wróżył mi wielką przyszłość, a po powrocie z USA w 1889, objął katedrę fizyki w Warszawie. Dowiedziałem się o tym w więzieniu, ze skrawka gazety. „Jeszcze jeden z tych, co dał się sprzedać” — myślałem czytając. Byłem wtedy odcyły od informacji o ludziach. Prawda wyglądała inaczej. Cebrowski nie przestał być nasz, miał związki z lewicą, należał do tych niewielu ostatnich, którzy nie ślepił. Wykładał stojąc. Ten zwyczaj zapoczątkował profesor Kotarbiński na humanistyce. Po wprowadzeniu getta lawkowo studentci żydowskie nie chcieli zajmować wyznaczonych im miejsc i słuchali wykładowców gromadząc się pod ścianą. Paru profesorów, na znak solidarności, wykładało wtedy w postawie stojącej. Wśród nich Cebrowski. Oczywiście, nie widywałem go w tych latach. Zetknąłem się z nim dopiero po wyjściu na wolność, w czasie okupacji. Był już wtedy w Partii. Wysoki, o pochylonych, ciężkich barkach i wypukłym czole. Miał nieco naiwny uśmiech, mówił zacierając r i żywo gestykulował. W zmian na zebraniach przychodził w kałasach i sam się z tego śmiał, powiadając, że proletariatu jeszcze nie wynalazł własnych środków obrony przed biotem. Mieszkał wtedy na Żurawiej, blisko placu Trzech Krzyży — jeden z naszych punktów w środowisku. Sam obsługiwał krótkofalówkę aż do wiosny 43-go, kiedy przerzucano go na Wschód; był tam potrzebny. Opowiadano potem, że do samolotu, który startował nocą z leśnej polany niedaleko Sobolewa, Cebrowski wsiadł z parasolem i w kałasach. Nie znając go można było przypuszczać, że to profesorskie nawyki. Ale kiedyś po wojnie zwierzył mi się, że stosował wówczas swój własny system konspiracji, oparty na zasadach powieści detektywistycznej; parasol i kałasie miały w nim odgrywać ważną rolę. Byliśmy już wtedy w przyjaźni i wiedzieliśmy, że czasem lubi być dziecinny.

W rok potem spotkałem go w Warszawie. Partia weszła go do kraju. Kilka nocy przegadaliśmy w jakimś pokoiku na Pradze, grzejąc ręce nad szklankami z herbatą. Słuchał było huk przedzierających przez saperów. Każdy z nas na zmianie opowiadał swoje wspomnienia z ostatnich lat. Potem mówił się o sprawach bieżących i przyszłych — wojna, Jeszcze trwało, to był luty 45, ciężkie początki Rządu Tymczasowego w rozguchotanym mieście. Mało kto wiedział, co to ma być za Polska, w której stolicy ludzie skakali z kamienia na kamień, jak wróble. Wkrótce powołano mnie do roboty w Związku Zawodowych, Cebrowskiego straciłem z oczu. W tym okresie wysyłano go często za granicę, później organizował Politechnikę we Wrocławiu, w jakiś czas potem wygłosił słynne przemówienie na Komisji do Spraw Energi Atomowej ONZ-u, po którym delegat Stanów Zjednoczonych opuścił salę obrad. Był rok 46-y. W kraju zabijano nam ludzi. Jeździłem po zagrożonych powiatkach matym Willysem, nieznanym i brzęczącym jak pszczoła, wydając potrzebne wskazówki tam, gdzie naszym opadały ręce. Zwłaszcza na wschód od Wisły nie było łatwo: zarząbano najlepszych, robota się rwała. Spotykałem takich, co chcieli rzucić posterunek z samego strachu przed nadchodzącą nocą. Inni prosili o przeniesienie. Ale — jak wiecie — nie wszyscy. Tych kilka miesięcy wyrwało ze mnie więcej sił niż cała wojna. Jesienią 47-go Komitet Centralny wezwał mnie do Warszawy. Powiedział mi tam, że mam jechać do Paryża z delegacją na Międzynarodowy Kongres Pracowników Nauki, który rozpoczął obrady z początkiem października. Nie zdziwiłem się. Gdyby mi kazano zamiast tego jechać do Bombaju na zjazd hodowców sioni, nie zdziwiłbym się także. W tym czasie nie było rzeczy niemożliwych. W obliczu braku ludzi używano się obecnych pod ręką. Towarzysz z Wydziału Propagandy wyjaśnił mi moje najbliższe zadania. Zrozumiałem, że będę tylko dopełniony do naszej delegacji, i to dość luźno. Po prostu okazały się potrzebne moje dawne kontakty z naszą tamtejszą emigracją, zwłaszcza robotniczą. W Partii pamiętano, że przed wojną obracałem się w Paryżu. Chodziło o repatriację, o jak najliczniejszy powrót. Podobno sprawa nie szła tak jak trzeba. Oczywiście, agitacja przeciw nam, rodzima agitacja: powrót do kraju usłowo przedstawiali jako wysiłek na roboty do zniszczonych niemieckich miast. Emigracja nie była przecież jedna. W Hotel Lambert rezydował wówczas generał Orsza ze swoim sztabem, łatwo się domyśleć reszty. Takie były przyczyny mojego wyjazdu. A jeśli idzie o delegację na Kongres — przewodniczył jej Cebrowski.

W tydzień później spotkaliśmy się na dworcu w Warszawie. Machał do mnie kapeluszem z okna przedziału, kiedy spostrzegł, że idę wzdłuż pociągu. Ten sam Cebrowski — pochylał, przyćmił, o guzowatym czole pogodnego wielkocuda. — Narzędzie was zlapałem — powiedział, wyciągając do mnie rękę — mijaliśmy się przeżycie rok, ale teraz was nie puszcza. Zatrzymałem dla was łóżko nadę mną.

Spotkałem go o kałasie i parasol, ale odpari, że nie umiem odróżnić wielkich wynalazków ludzkości od przejawów degeneracji mieszczaństwa. Śmiesiliśmy się obydwa. Był taki sam, jak przedtem: zawsze pozwalał zapominać innym, że ma nad nimi wyższość. Obecując z nim zaczynałem rozumieć, na czym polega prostota ludzi, których uważamy za niepospolitych: na zastąpieniu własnej osoby tym, czemu jest poddana. Pozwalał zapominać innym, kim jest, ponieważ sądził, że wszyscy są po-

dobni w obliczu tego, co jest. Przepuszczam, że wiedział na ten temat więcej niż ja. Nie znam się na nowoczesnej fizyce.

*

W Paryżu przywitał nas deszcz, mokre asfalty i gwizdki policjantów na skrzyżowaniach ulic. Godzina była wczesna, postanowiliśmy iść pieszo do ambasady. Zamieiliśmy parę słów z Cebrowskim.

— W pierwszej wolnej chwili wpadnę do was na Kongres — przyrzekłem. Przetrzyłam moją rękę: — Pamiętajcie. Życzę wam powodzenia. — Uśmiechnięliśmy się do siebie. — Może będziemy wracać razem.

— Nie wiem, jak długo będę tu potrzebny — odpowiedziałem — dam wam znać przed wyjazdem.

— Pamiętajcie — powtóżył. W ambasadzie przyjęto mnie niezwłocznie.

— Czekałszy na was — usłyszałem. — Repatriacja idzie opornie. Bombardujemy centralę o ludzi, którzy umieliby wytłumaczyć, co to jest Polska Ludowa. Chcemy was wysłać w teren. Przede wszystkim — okręgi górnicze. Nord, Lille, Roubaix... Dalej: Metz, ważny ośrodek. Urządźmy tam dla was zgromadzenia, będziecie przemawiać. Przyjeżdżacie wprost z kraju, to ważne. Ludzie nie chcą gadać z innymi. W tamtych stronach nie pójdzie wam trudno. Robotnicy rozumieją nasz język. Ale to nie wszystko.

Zaciekałem się: — O co chodzi ponad to?

— Sprawa z gatunku „delikatnych”, kłopoty z inteligentami. Mamy tutaj takich: rozczarowanych do „Londynu”, obolących wewnętrznie, jak się teraz mawia. Trzeba im pomóc. Nie tyle agitować, ile pomóc. To są ludzie chorzy i mogą przepaść. Rzecz wymaga ogólności, spokoju i nawet — współczucia... Warto, żebyście się tym zajęli na początek.

— Dobre — odpowiedziałem — ale gdzie ich szukać?

— Wszędzie. Żyją poutykani w różnych szczeblach i kątach. Wiecej, że Paryż to bardzo stara budowa. Naniósł się tutaj wiele kurzu z dawnych lat. Niektórzy pędzą tu żywot pleśni czy pajęczyn. Tych nie warto ruszać. Wciąż przybywają jednak nowi, których musimy ratować, zanim przetrąca do tamtych. Wskażemy wam miejsce, gdzie można ich spotkać; przydadłby się ktoś, kto by mógł was do nich zbliżyć.

— Zaraz — przerwałem — czy w Paryżu mieszka jeszcze Hołyszko? Doktor Edward Hołyszko, historyk, pracował kiedyś w Bibliotece Polskiej...

Hołyszko nie zmienił adresu. Można się było tego po nim spodziewać: nie lubił zmian w swoim życiu i odkąd go pamiętam, nie zmieniał nawet wyglądu. Mieszkał w tym samym domu co przed wojną, na wyspie świętego Ludwika. Ulica nazywa się rue des Deux Ponts, co po polsku znaczy ulica Dwoch Mostów. Istotnie, prowadzi ona od Pont de la Tournele do Pont Marie. Dom, w którym mieszkał Hołyszko, wyrastał jakby wieża z pomiędzy dwóch starych kamienic napierających na z lewa i prawa. Jest jeden to niezmiernie wąski i posiada jeden tylko pionowy rząd okien, które giną w zaroślach dzikiego wina. Poszedłem tam tego samego dnia, przed zmierzchem.

Sam otworzył mi drzwi i przez chwilę patrzył na mnie z namysłem. W ciastym korytarzyku było ciemno. Wciągnąłem w nozdrza znajomy zapach szpagiatu i zakurzonych mebli.

— Nie poznajecie mnie, Hołyszko? Mój głos sprawił, że wypuke szklę jego binokli argenty, przysuwając się do mojej twarzy.

— Pankrat... — mruknął. — Ie to już lat? Od ostatniego naszego spotkania minęło dziesięć lat. Nocowałem u niego w 37-ym zima.

— Dziesięć lat — powtóżył Hołyszko. Spytal, czy to prawda, że zamknęli mnie po powrocie.

— To prawda — powiedziałem — ale żyję, jak widział. Mam do ciebie ważne sprawy.

Hołyszko podrapał ko drzwiami i wprowadził mnie do pokoju. Dziesięć lat nieczego to nie tknęło: sterty książek zawalające spręży, rekopisy spiżnione na biurku, spłowie obicia foteli, resztki jedzenia na stole i przy oknie.

Wspiął się na palcach, bystro zaglądając mi w twarz spodn swoich szklei, i spytał, czy przyjeżdżam z kraju. Odpowiedziałem: — z kraju. — Podobny był do małego, starszego sroki, której dla żartu włożono na lebek jedwabną mykę z chwostem.

— I dalej jedźdźisz za rewolucją? — Tym razem za emigracją, stary. Czas się zmieniają.

Hołyszko zakrzęczał swoim pieszczącym głosem: — Czas się zmieniają, ale wy nie! Znam cię przecież. Chcesz mi zapewne komuś podrzucić na noc. Poczekał, naleję herbaty. Lubisz mocną i gorzką, znam cię przecież. Pamięć mi się nie zepsuła przez tych dziesięć lat.

Usiadłem w fotelu, a on się krzątał gderając i filozofując. Wiedziałem jednak, że był wzruszony. Tak samo zresztą jak ja. Te sprawy zatłaczały się między nami bez wielu słów. Mogłem mu niejedno opowiedzieć o ubiegłych latach, to prawda. Ale nabrało się tego za dużo. Tych lat nie dałoby się zmieścić w rozmowie.

Hołyszko, dobry i złośliwy karzeł, który częstował herbatą każdego, kto chiał się pewnie ogzrać... W Paryżu mieszkał już prawie czterdziestu lat, a ile sam liczył, wiedział tylko on. Przeg jego ciasne kitki na rue des Deux Ponts przewinęło się w tym czasie nie mało historii. Spytal tu wloscy socjal-demokraci i hiszpański anarcho-syndykalisci; ofiary niemieckiego faszystu dzielił tutaj twarde łóż z numerami kartotek Daniłowiczowskiej; Zydzi z Berlina, Wiednia i Sudetów gnieździli się tygodniami wśród porozuczanych manuskryptów „Historii Polskiego Wychodźstwa”, którą Hołyszko pisał, zdaje się, już lat dwadzieścia i chyba jeszcze jej nie skończył. Przyjechał do Paryża z dyplomem humanisty, po roku podobno zaczął pisać sonety, później — opowiadano — malował przez kilka lat uliczki na Montmartrze, wreszcie przy-

jął posadkę urzędnika w Bibliotece Polskiej i przysechł tam do dziesiętego dnia. Poczwarą z sentymentalnym sercem, które nie znosiło widoku cudzego cierpienia. Znal wszystkich Polaków w Paryżu, pamiętał szczegóły ich życia, prowadził dziwaczna kronikę, w której notował nazwiska i przygody ludzi dawno przepadłych. Z tej kroniki sporządzał jakies wykazy czy wykresy do swojego dzieła. Nic z tego nie zostanie, to pewne. Tylko postać z anegdota, przypisek na marginesie tamtejszej historii. W Paryżu spotkacie takich więcej.

Po kilku minutach rozmowy przeszedłem do swoich spraw. Powiedziałem mu, że muszę poznać ludzi i chcę, żeby mi to ułatwił. Ale on wycierał szklankę chustką do nosa i udawał, że nie słyszy.

— Polaków — dodałem, kiedy nalał herbatę.

Hołyszko zachichotał:

— Polaków, ale jakich? Tu są różni Polacy. Polacy, Francuzi i Niemcy, takich słów używa się w czytaniach szkolnych. Nazywam się Wacław Pankrat; kiedy cię zamykali, byłeś Polakiem i ci, co cię zamykali, też byli Polacy. Trzeba prócz tego pamiętać, że tutaj istnieją dodatkowo polodzia, o jakich filozofom się nie śniło. „Les Polonais au bord de la Seine”, hihh, znasz tę piosenkę? Wiec o których ci chodzi?

Powiedziałem, o których mi chodzi. Hołyszko spochmurniał.

— Po co ci oni? — mruknął niechętnie. — Lepiej ich nie ruszać. To rozbitki po ostatnim burzliwym rejsie. Pozwolicie im tutaj odpocząć.

Przerwałem mu. Siedząc od lat poza krajem, nie jedno przestał rozumieć. Polska znaczyła dla niego już tylko jakąś trudną i męczącą sprawę, od której co pewien czas ludzie uciekali do Paryża. Potwarzał, jakby nie słysząc, co mówię: — Tu uratowani toplecy. Pozwolicie im odpocząć.

Zwolałem w końcu, że nie ma prawa namawiać ich do życia, jakie sam tutaj prowadzi. — Czy ty wiesz, ile dziś wart jest w Polsce człowiek, który coś umie? Cóż ty im możesz dać prócz noclegu? Jeśli im się poszczęści, za parę lat będą zwozić śmiecie z bulwarów albo rentierom podawać w knajpach piasek. Wiesz, że nie jestem oszustem: chcę im pomóc.

Spostrzegłem, że się waha. Patrzył na mnie badawczo swoimi oczami, rozszerzonymi przed szklą.

— Można ich zgubić — szepnął — nie wiedząc o tym. Szukają bezpiecznej drogi między mieczami. Drogi między „tak” a „nie”. Są ślabi, zmęczeni. Każdy z nich, jeśli tracić go palem, może stać się lajdakiem albo ofiarą. Mają porażony zmysł równowagi. Gdybym mówił twoim językiem, Pankrat, powiedziałabym, że nieszczęściem tych ludzi jest brak świadomości klasowej. Wychowałem się jednak na literaturze, która uczyła innych słów. Rozbitki po wielkim trudnym rejsie. Wielu z nich zbiera się wieczorami w polskiej restauracji koło „Saint-Germain”. Nazywa się ona „Le Saule” i mawia się tu o niej: „Pod Wierzbą”.

Zawioź mnie tam tego samego wieczoru. Na małym sztyldzie, ponad oszklonym wejściem zasłoniętym pomarańczową firanką, była wymalowana płacząca wierzba i strumień. Szyna nosiła półkolisty napis białą farbą „Le Saule”. Hołyszko popchnął drzwi i wszedł pierwszy.

Znalazłem się w gospodzie „Pod Wierzbą”. Z początku mało co mogłem zobaczyć. W półmroku nad stolikami wisiał pułap sino-szarego dymu, powietrze było gęste i duszne. Kiedyśmy weszli, gwar przychleł trochę, kilka głów odwróciło się w naszą stronę. Spotkałem parę spojrzeń dość obojętnych, nieco tępych. — Cześć doktorze — rzucił ktoś spod ściany, zanurzony w cieniu. Niektórzy mężczyźni siedzieli w beretach zsuniętych z czoła na tył głowy. Wielu w bluzach khaki, bez odznak. W jednej z małych łóż, wysłanych pasiastym sukniem, grano w szachy. Gromadka kibiców oblaśdła stół. Hołyszko, który w przejściu wymienił powitania, wskazał mi miejsce przy wolnym stoliku w kącie. W bocznym pokoju fortepian grał piosenkę, której nie wolno tańczyć w Warszawie. Miałem teraz przed sobą całą salę i mogłem patrzeć, bo przestano się mną interesować. Styl gospody „Pod Wierzbą” chciał pewnie naśladować urządzenie wiejskich izb. Z niskiej, belkowanej powaly zwieszaly się kolorowe lampki w abażurach ze słomy, stolki były grubo ciosane i proste, obrusy w łowicki haft. Ściane naprzeciw mnie jakieś malarszator zamielił w panoramę Wisły: na jasno-złoty tle widniały sielankowe sceny, Wisłą płynęły tratwy i łodzie, dzwecznyna w kolorowym stroju czerpała wodę dla ulana, piaszczysta droga wiodła do kościoła — i znów płacząca wierzba nad strumieniem, taka sama jak na sztyldzie. Przez chwilę poczułem się bezradny w obliczu tej sceny z malowaną Polską, która zachciało się tu komuś zakrzęzić. Byłem zmęczony, pojmuję: kilkunastodniowa podróż i pierwszy dzień w tym mieście. Piękły mnie oczy i policzki.

Hołyszko usiadł koło mnie i przypatrywał mi się ze złośliwą uwagą. — Masz ich, skoroś chciał — syknął — zrobiłem swoje. Na kolanach ci ich nie posadzę.

Zaczęł mi pokazywać poszczególnych ludzi, każdego obdarzając ustną notatką. Znal tu prawie wszystkich. Do nazwiska dorzucał zawód, koleje wojenne i cechę charakteru. — Był dziennikarz z Wilna, potem oficer oświatowy, trzy lata w II Korpusie, wystąpił po scyży z dowództwem, metne sprawy, skończył na dziwkach i morfynie... Warszawski architekt, cała wojna na froncie, postarł w ramię z bitwy o Cotentin, trzeźwy optymista, zalanym po czyżjści śmierci w Warszawie... Na lewo, w battle-dressie: niedokończony elektryk, młody szpic; powojenne pokolenie. Nic nie rozumie, pierwszy raz goił zarost w oflagu, gdzie go trzymali od 39-go. Szuka pracy i mówi, że bolszewicy jedzą surową baraninę...

Od paru chwil słuchałem nieuwważnie. Po prawej stronie od wejścia znajdował się bufet, przy którym na wysokich stołkach siedzieli kilku mężczyźni. Za bufetem stała kobieta, napieniając kiellki. Była jeszcze młoda, niewiele ponad trzydziestkę, poruszała się w szczególny sposób, niedbale, a

zarazem jakby ze zmeccaniem; tak, że chęłoby się jej pomóc. Musiała tu być nie na swoim miejscu, nie nawiąka chyba do tej pracy. Miała zieloną chustkę luźno owiniętą wokół szyi. Ładne oczy, wykrojone nieco skośnie, o niewesołym, zdawało się, spojrzeniu, którego nie mogłem spojrzeć.

Naprzeciw niej siedzieli dwóch mężczyzn opartych o bufet. Jeden, w brzoziowym piaseczu, odwrócony do mnie plecami. Twarz drugiego widziałem z profilu. Mam ją dziś wyraźniej w oczach. Prawie każdy by rzekł na jego widok: przystojny mężczyzna — zwłaszcza kobiety; ale co do mnie, nie lubię takich spotykać. Gdyby był do mnie przyszedł w okresie włośnienniczejgo strajku w P. albo później, w czasie konspiracji, na Solec, odesiałbym go do domu. Po prostu, znałem te twarze i wiem z doświadczenia, że tacy najłatwiej zalamują się na śledztwie. Określić, co to za jeden, przyszedłby mi jednak z trudnością. Inteligent, na pewno, ale jego zawodu nie umiałbym odgadnąć. Zdaje mi się, że przed wojną wielu podobnych można było spotkać w dużych miastach. Bohaterowie ówczesnych powieści, ludzie bez przydziału, którym nieprzydatność wydawała się wolnością i którzy tworzyli z tego pokątne filozofie. Oczywiście, przed wojną łatwiej było je uprawiać niż teraz. Miał wypłane na twarzy, że nie jest rad ze świata, więc — z gospodą „Pod Wierzbą”.

Rozmawiał z drugim, którego niestrzyżone włosy spadały na koinierz piaseczka; ale wydawał się znużony i błęził oczami po sali. Przy tym co parę chwil roztargolonym ruchem podsuwał kobiecie z bufetu kiellkę, a ona napeniała go jakimś zółtawym alkoholem. Nie patrzył na siebie. Spostrzegłem, że ona usługuje mu niechętnie, jakby wbrew woli. Widac nie była za tym, żeby pić. Domyśliłem się, że łączy ich wieść, niż okazja przy bufecie. Wyglądali na parę, nie trudno było to przenić, na parę trochę już sobą zmeccana, a jednak bliska.

Nie mogłem dłużej im się przyglądać, gdyż Hołyszko wyśledził mój wzrok i umilki, chytry karzeł, obserwując mnie bacznie spoza swych teleskopów. Szlachcił obok w łóż rozpoczł kiellkę, jeden rozrzucił figury, kiłac. Wezwano Hołyszka na rozjemcę, ludzie wokół zaczęli się śmiać. Przypatrywałem się tej scenie, wciąż mając w kącie oka zieloną chustkę z za bufetu. Piłajkę mężczyzna odwrócił głowę ku łóżom. Wydalo mi się, że mnie spostrzegł. Czulem na sobie jego wzrok. Zamienił kilka słów z kobietą, wdziałem, że o mnie. I znnow patrzył w moją stronę. Ale ja byłem pewny, że widzę go pierwszy raz.

Nie muszę chyba tłumaczyć, że był to Julian Szarlej. Dziesięć lat zatario mi jego twarz. Niektóre twarze sprzed wojny trwały przez ten czas swoją dawną lokatę. Moja pamięć przynęca do lat na Solec, do tamtych twarzy i spraw; nie wiem, czy tym poznał teraz własną matkę, gdyby ożyła. Znalłem takiego, który twierdził, że każdy z nas w dniu wybuchu wojny umarł i na nowo się urodził. Tam, „Pod Wierzbą”, miałem przed sobą człowieka, który kilkakrotnie w życiu przypadkiem prześiał mi drogę. Ostatnim razem... skłucznie. Mimo to nie mogłem go sobie przypomnieć. Dopiero kiedy poszedł i wymienił swoje nazwisko, zrozumiałem, że dzięki jego oczu udał mi się zamach na Niemca Pausta i że jego brat chciał do mnie strzelać na Tameze w 43-ym, a później został moim przyjacielem.

Powiedział: — Spotkał się zimą 87-go, w hoteliku na rue Soufflot, pamięta pan? — Nie pamiętałem.

Czy chciał wtedy czegoś ode mnie? Chyba nie. Zresztą, nie zastanawiałem się nad tym. Polak, który spotykał mnie przed wojną. To wszystko. Co prawda spojrzenie, jakim mi się przyglądał, było szczerzółne. Patrzył na moją rękę. Na lewą rękę. Mam na niej bliźnę powyżej przegubu, z dawnych czasów. Znak, o który zawsze pytały mnie dziewczyny i który chętnie notowano w kartotekach. Takie rzeczy interesują ludzi, przyciągają wzrok, przywykłem do tego, więc wtedy nie wydało mi się dziwne, że on także zwrócił uwagę na ów drobiaż.

Rozmawialiśmy o jego bracie. Spytał, czy prawda, że został komunistą. Ostatnie słowo obdarzył akcentem, który dobrze znałem. To akcent cudzoziemców, ludzi obcych wszystkim, co mieć się w tym słowie.

Odpowiedziałem: — Prawda. Jest komunistą. To dziełny chłopiec, pański brat. Takim jak on nie przychodził łatwo stać się komunistą. — Szarlej uniósł brwi niby ze zdziwieniem; milczał jednak. Opisałem mu w krótkich słowach wojenne dzieje jego brata. — Należy do tych — zakończyłem — którzy wyszli cało z wojny. Jest porządnym człowiekiem. Wojna toczyła się przeciw ludziom, on ją wygrał.

Szlachcił łowlił pewnie strzępy naszej rozmowy. Przerwał partię, wymieniając między sobą spojrzenia. Przepuszczam, że dobiegły ich słowa „komunistą” i „wojna”. Dziś przerywa się inne zajęcia na dźwięk takich słów. Hołyszko słuchał także. Kelnerka postawiła przed nami karafkę i szklanki. Ten sam alkoholi, jaki Szarlej pił przy bufecie. Na sekundę schwyliłem nie-społojny wzrok kobiety za barem. Siedziła z głową opartą na dionie. Nie wiem dlaczego, nagle zrobiło mi się jej żal. Szczęśliwie kobieta nie miała takich oczu. Wólra ręką poprawiała co chwila chustkę opadającą z szyi. Wiedziałem, że w tym ruchu kryło się więcej niż troska o wygląd. Niektóre gesty ludzkie szukają dla siebie wielu drobnych przyczyn, w istocie mają jedną niezmienną przyczynę w człowieku. Długo przeszkadzał mi ten ruch jej ręki i trudno mi o nim dzisiaj nie pamiętać.

Nasz stolik, jak powiedział, mieścił się w kącie sali. Siedzieliśmy twarzą do drzwi i mogłem oglądać każdego, kto wchodził. Wciąż bowiem napływały ludzie. Niektórzy zatrzymywali się przy bufecie. Wtedy ona rozmawiała z nimi, napieniając szklanki; w tych chwilach traciłem do niej dostęp. Inni zajmowali wolne miejsca przy stolikach. Zapewne po sali rozszedła się pogłoska, że przyjechałem z kraju, bo coraz częściej dosięgały mnie obce spojrzenia, a w dalszej łóż ktoś podniósł się z krzesła,

* Zamieszczony fragment stanowi rozdział III tomu cyklu „Między wojnami”.

żeby mnie zobaczyć. Przez cały ten czas rozmawiałem z Szarłem i Hołyszka. W Paryżu trwała właśnie konferencja ministrów czterech mocarstw, więc mówiliśmy o niej. Hołyszko ironizował: — Konferencja dla profesjonalistów i szpicliów z Sécurité, którzy pilnują wejścia...

— Tak — przytwardził Szarłem. Dodał, że dzisiejszy świat to kiótina zawodowych maniaków, którzy spierają się o rzeczy swego fachu. — Świat i człowiek są dziś przemocą wciągani w dziedzinę obcych specjalności. Przemocą — powtórzył z naciskiem. Stanowiło to dla niego nadużycie, „moralne nadużycie” — powiedział. Nie trudno było mi się domyślić, o czym mówił: za obcą specjalność uważał przede wszystkim marksizm, mnie — za jednego z maniaków. — Ludzie — oświadczył — pragną wolności od wyboru i walki.

Miałem przed sobą intelektualistę z gatunku „niezależnych”, czytelnika bieżącej historii, któremu się zdawało, że nie ma go na jej kartach. Chętnie byłbym mu wskazał palcem rozdział o takich, jak on. Zamknął już rozdział.

Zapytał mnie pó chwili: — Wraca pan tam? — „Tam” — znacząco do Polski. Odpowiedziałem, że zawsze wracam z podróży do domu.

Wtrącił się Hołyszko i zmienił temat. Być może, iż poczuł solidarność z tymi, co nie wracali do domu. On także przecież nie wrócił ze swej podróży sprzed trzydziestu lat. Spytał, czyśmy słyszeli o Kongresie Naukowców, który miał się rozpocząć nazajutrz w pałacu Chaillot.

— Jestem historykiem, moi panowie — utyskiwał — humanistyka to mój stary śmietnik, aż tu nagle wasi politycy każą mi się uczyć o energii wewnątrz-jądrowej.

Rozłożył na stole pomietą plachtę wieczornego brukowca: „Przybycie dwóch wielkich badaczy tajemnic atomu” — brzmiał tytuł. Na pierwszej stronie widniały fotografie Cebrowskiego i profesora Lutrechta z USA. „Paryż czeka na sensacyjne spotkanie” — wpadł mi w oko jeden z mniejszych nagłówków. Lutrecht został zdjęty na tle jednego z budynków swej stacji doświadczalnej w Bellingham Wood. Z fajką, w szerokoskrzydłym kapeluszu i płaszczu zarzuconym na ramiona. Sąsiednia szpalta ukazywała twarz Cebrowskiego. Fotoreporter schwytał jego uśmiech. Ten sam: szeroki i trochę naiwny. „Cześć, profesorze” — powitałem go w myśl. Wszyscy trzej, pochyleni, patrzyliśmy na zdjęcia. Hołyszko dalej drwił i wydziwiał. W pewnej chwili Szarłem odezwał się, że chciałby poznać Cebrowskiego. Puściliśmy to mimo uszu. Nie uważałem za konieczne wspominać o swojej znajomości z Cebrowskim.

Wieczór, zdawało się, będzie tak kulał do końca. Zadymiona sala, leniwy gwar, utarczki szachistów, postacie wciąż zmieniające się w drzwiach. Nieznajomą za bufetem zasłaniały mi plecy nowych pijących, nie miała chybka teraz wiele czasu, aby poprawiać swą chęć. Ogarniało mnie zmęczenie — zmęczenie tej kobiety. Nie powinna była tu pracować, nie była to jej praca. Ponadto rozmowa z Szarłem rwała się co parę zdań. A jednak nie odchodził. Zamiast mi powiedzieć, co go przy nas trzyma, patrzył tylko na mnie całą swą białą, niezbyt męską twarzą krótkowidza. Na mnie i na moją bliźnię.

— To zabawne — powiedział niespodzianie — że pan mnie nawet nie pamięta.

Nie rozumiiałem, dlaczego to miało być zabawne. Nie wiele obchodził mnie ten człowiek i jego rozbita wnetrze. W myśli sporządziłem rachunek dnia: nawiazany kontakt z Hołyszka, parę zanotowanych nazwisk ludzi z „Pod Wierzbą”, wrzeszcz Szarłem. Do wyjazdu w teren pozostawało mi jeszcze kilka dni. Nazajutrz mogłem tu przyjechać szar. Nie wzięli by mnie już za obcego.

Mój pierwszy wieczór „Pod Wierzbą” zmierzal więc ku końcowi, a ściślej mówiąc, wieczór pozostawał już za nami: od dawna trwała noc, gdy dałem znak Hołyszce, że pora wychodzić. Szarłem podniósł się także.

— Zostaje pan? — spytałem.

Uśmiechnął się, wskazując bufet, i powiedział, że pełni tu służbę.

— Zadzroście panu te służby... — mruknął Hołyszko; jego szka zaświeciły złośliwą melancholia.

— Czy ona dobrze znosi te prace? Szarłem wzruszył ramionami.

— Równie źle, jak wszystkie inne. Potem zwrócił się do mnie. Chciał mnie jeszcze spotać, pytywał, czy przyjeżdżam nazajutrz „Pod Wierzbę”. Odpowiedziałem, że chyba przyjeżdżę. — Dziękuję panu — szepnął. Dodał, że tego dnia nie mówił z mną o wszystkim, o czym chciał rozmawiać. Rozłożyłem ręce. Nie widziałem w tym niczyjej winy.

Przy wyjściu Hołyszka odciągnięto na bok. Ktoś miał do niego sprawę.

— Tych dziesięć lat kładzie się między ludźmi, jak trzęsawisko. Nie sposób uczynić kroku — powiedział Szarłem, żegnając się ze mną.

Przyznałem mu rację. To były umarłe lata dla ludzi, którzy nie spędzili ich wspólnie.

Wychodząc spotkałem jej wzrok. Naprzeciw niej, na wysokim stołku siedział już tylko jeden gość w brezentowym płaszczu. Poprzednio rozmawiał z nim Szarłem. Później dowiedziałem się, że był to biały emigrant rosyjski, wynalazca i dziwak, Ulickij.

Miasto czekało nas opustoszałe i prawie beziudne. Nocy w Paryżu straciły swój dawny blask.

Kazimierz Brandys

JAN BIAŁOSTOCKI

Zagadnienia twórczości amatorskiej

Z okazji Wystawy w Muzeum Narodowym w Warszawie

WYSTAWA w Muzeum Narodowym w Warszawie zorganizowana przez Komisję Centralną Związków Zawodowych postawiła w świetle aktualności zagadnienie sztuki amatorskiej. Sztuka ta istnieje nie od dziś i stanowi trudną do zbadania warstwę pośrednią znajdującą się na peryferiach sztuki „wielkiej”, prymitywu i twórczości ludowej. Rozmaite są rodzaje tej sztuki. Jest twórczość ludowa o silnej tradycji, przetwarzająca wciąż ukształtowane dawno typu, przedstawień. Jest sztuka popularnych rycin — „image-rie” — o tematyce religijnej, politycznej, rodzajowej. Twórcy ludowi i autorzy rycin nie są jednak w ścisłym sensie amatorami. Drzeworytnik odbijający na jarmarku swe kylografie żyje z ich sprzedaży, świątkarz czy malarz na szkło również zawodowo trudni się swą sztuką. Istnieje jednak twórczość ściśle amatorska, uprawiana na marginesie pracy zawodowej.

przedstawione pochodzą ze świata fantazji. Wychodzą nie z natury, lecz z jej odzwierciedlenia przez malarza, którego obrazy oglądali. Mniej samodzielnie, mniej odważnie czy mniej ambitnie kopiuja ścisłe, zestawiają elementy; inni malują świat widziany na obrazach, reprodukcjach czy fotografiach. Tematy oczywiście mogą być różne. Są one urozmaicone. Zarówno pejzaż jak sceny figuralne, martwa natura jak portret, sceny z życia zawodowego artysty-amatora, jak wspomnienia z wydarzeń wojennych, są tu reprezentowane. Brak tematyki religijnej. Nawet Ociepka, na ogół tak bardzo średniowieczny w swej skomplikowanej religijnej ikonografii, wystawia tym razem jedynie obraz o tematyce egzotycznej.

W wielu obrazach tej grupy malarzy czuje się wyraźny rozdźwięk między koncepcją utworu, tym, co dawna teoria sztuki nazywała terminem „disegno” lub „idea” dzieła — a realizacją na płótnie czy papierze. Koncepcja pojęciowa, po-



Petkiewicz — „Widok na Teheran”

to, co istotnie mogą namalować. Inni pragną przedstawiać przedmioty, postacie i akcje, których namalować nie umieją. „Prymitywni” myślą plastycznie w kategoriach dekoracyjnej płaszczyzny, perspektywy piętrowej, w kategoriach fantazji i symbolu znakowego. Ich realizm jest realizmem pojęciowym, intelektualnym. Malują to, co wiedzą o wyglądzie przedmiotów.

Inni pragną malować świat tak, jak wygląda na widzianych reprodukcjach obrazów, czy wręcz pragną przedstawiać rzeczywistość tak, jak aparat przedstawia ją na zdjęciu fotograficznym. Naiwni realści dążąc do ścisłości fotograficznej, osiągają własną oryginalną, poetycką wizję.

Inni podejmują często tematy o intensywnej tonacji uczuciowej, która załamuje się w ich obrazach i daje fałszywą harmonie. Dla nastroju, który Nikifor, Bułat czy Podolski sugerują swymi obrazkami, można by szukać wcale efektownych porównań w „wielkiej sztuce”.

Ciekawa jest zbieżność między tymi polskimi artystami a ich francuskimi poprzednikami i kolegami. Silne podobieństwa można zaobserwować między Stepiem a Vivinem, Staligą a Utrilem. Polscy amatorzy nie stykali się przecież z dziełami Francuzów, a reprodukcje tych obrazów są zupełnie rzadkie na naszym terenie.

Scharakteryzowane plastyczne uzdolnienia „prymitywów” pozostają jednak poniżej jakiegos progu, tego może, który Lalo³⁾ nazywa „progiem świadomości estetycznej”. I to łączy ich z innymi artystami-amatorami, których dzieła wystawione są w Muzeum Narodowym. Jest to sztuka „nieświadoma artystycznie”. Jednym wystarcza intuicja, innym trzeba by dobrej szkoły malarskiej.

Obok nieświadomości artystycznej inną cechą charakteryzującą dzieła amatorów jest ich bezinteresowność. Jest to sztuka wykonywana w wolnej chwili, dla radości twórczej, z potrzeby wypowiedzania się, dla ozdoby odczynku.

Cecha nieświadomości artystycznej nie dotyczy wszystkich wystawiających. W wielu wypadkach (pomijam tu już „naiwnych realistów”) amatorzy zdradzają talent a w niektórych można wyczuć nawet świadomy stosunek do twórczości. Czują się to pomimo niejakich nieudolności technicznych, utrudniających jeszcze wypowiedź, pomimo trwającej adaptacji cudzych formuł rysunkowych czy malarskich. Interesująca jest akwarela S. Morawskiego (Orkiestra widziana z góry), ładne są martwe natury Wójcickowej, malowane z dużą powściągliwością. Persejskie notatki akwarelowe Kamili Pietkiewicz nie pozbawione są licznych walorów i mają wcale samodzielne oblicze artystyczne.

Obok tego pokazano jednak dzieła (nie tylko te ze siomy i lutownej blachy), które nie wiele mają z sztuką wspólnego.

Amatorzy wzorują się na ogół i nadal będą się wzorować na widzianych obrazach, rysunkach i reprodukcjach. Z faktu tego wysunąć należy wnioski dotyczące postępowania, które trzeba obracać dla udoskonalenia twórczości amatorskiej (poza kształceniem wyjątkowo uzdolnionych amatorów w celu wychowania ich na samodzielnych artystów-nieamatorów).

Amator musi oglądać sztukę dobrą. Dzieła Domenico Veneziana czy Wita Stwosza, które zdobyły kiedyś okładkę „Przekroju”, nie mogą jeszcze zrównoważyć wpływu „Kunst dem Volk”, żywo kopolowanego w okupowanej Polsce. Niemalże kilkie scenki rodzinne i batalistyczny styl Theo Mathejko można wykonać jedynie przy pomocy intensywnej akcji rozpowszechniania dobrej sztuki. Oprócz czynnej i rozwijającej się coraz lepiej instytucji wystaw obrazowych, obok taniach i popularnych monografiów (których publikacji nie podjęto jak dotąd żadne z wielkich wydawnictw; Gierymski Wolffa pozostał bez następów), naczelna rola przypada popularnym, rozchodzącym się w dużych nakładach czasopismom. Ich poziom ilustracyjny w dużej mierze zadecyduje o dalszych losach tak bogatej i rozmaitej twórczości amatorskiej w Polsce.

Jan Białostocki

³⁾ Lalo, L'art et la vie sociale, Paris.



Bułat — „Dziłki”



Dyszkiewicz — „Postęp”

wej, w wolnych chwilach, sztuka dla samej przyjemności.

Dzieła tak zwanych nowoczesnych prymitywistów, odkrytych przez Jarry'ego, Apollinaire'a, Maxa Jacoba, Wilhelma Uhde zmusiły nas do uznania nowej klasy twórców, którzy nie są takimi artystami, jak współcześni im malarze o fachowym wykształceniu, ale których dzieła odznaczające się indywidualnymi znamionami stylistycznymi nie dają się zaliczyć do anonimowej i tradycyjnej twórczości ludowej. Muzeum Sztuki Współczesnej w Paryżu poświęciło im osobne sale. Vivin, Séraphine, Bombois, Bauchant, znaleźli tu swe miejsce, gdy nestorowi grupy, celnikowi Rousseau pozwolono rezydować dostojnie wśród impresjonistów w salach „Oranżerii”.

Michajłow¹⁾ próbował scharakteryzować tę sztukę terminem „sztuka laicka” i sądził, że powstaje ona wówczas, gdy wygasa twórczość ludowa. W Niemczech miało to nastąpić w końcu wieku XVIII, we Francji w sto lat później. René Huyghe²⁾ powiada, że wystąpienie we Francji licznych malarzy owego „naiwnego realizmu” możliwe stało się dopiero wówczas, gdy fauvizm i kubizm doprowadziły do kresu rozwój zachodnio-europejskiej sztuki elitarniej. Ani jeden ani drugi pogląd nie wyjaśnia całkowicie zagadnienia; oba mogą podlegać dyskusji.

Oprócz tego typu sztuki amatorskiej — popularnej, opartej na instynkcie — istniała od dawna sztuka oparta o naśladowanie sztuki elitarniej. Panjenki z dobrego domu i miłośnicy malarstwa z upodobaniem praktykowali w wolnych chwilach twórczość artystyczną, traktując ją jako szlachetną formę czasów i jako sposób pogłębiania kultury artystycznej. Kopiowanie wybitnych dzieł sztuki, rysunek i akwarela z natury, dawały im satysfakcję, że sami wykonują dzieła sztuki, podobne nieco do podziwianych kiedy indziej utworów wybitnych artystów. Wraz z demokratyzacją kultury coraz szersze rzesze amatorów malarzy podejmują pracę odwrotną i twórczą z podobek już nie smakozwosko-snobistycznych, lecz z istotnej, odczuwanej silnie potrzeby wypowiedzi plastycznej.

Obecna wystawa plastyki amatorskiej obejmuje dzieła typów rozmaitych. W pięciu salach Muzeum Narodowego wystawiono kilkaset obrazów, rysunków, akwarel i rzeźb wykonanych przez malarzy-niefachowców, członków związków zawodowych. Spotykamy tu zarówno twórczość oryginalną, w sensie samodzielnej koncepcji artystycznej, jak też rozmaite rodzaje twórczości „z drugiej ręki”.

Kształtowanie koncepcji artystycznej środkami „wielkiej sztuki”, środkami malarzy-fachowców, jest budowaniem wizji zgodnej z prawami optycznymi widzenia, z zasadami estetycznymi kompozycji — lub też twórczością wyrzekającą się tych praw, ale czyniącą to świadomie, odrzucając je po ich opanowaniu. Droga ta wymaga dużej umiejętności technicznej, wymaga lat praktyki i studiów, nie przeto dziwnego, że amatorzy, którzy tę drogę obrali, muszą korzystać z zapożyczonych gotowych szablonów obrazowych, fakturowych, czy kolorystycznych. Sukces często możliwy tylko dla artystów rezygnujących z takich sposobów wypowiedzania się, które wymagają znajomości perspektywicznych i kolorystycznych praw widzenia i zasad kompozycji przestrzennej i płaszczynowej. Ci malarze pracują autonomicznie: ich wizja układa się na papierze czy płótnie, zgodnie z racjonalnym przeświadczeniem o realnej formie przedmiotów. Oddzielenie wiedzy o przedmiotach od wizualnego wrażenia, jakie wywołują, jest rzeczą bardzo trudną. Malarstwo prymitywów jest pojęciowe. W swym założeniu jest ono zresztą realistyczne, mimo że często przedmioty



Nikifor — „Dworzec kolejowy”

Mówiąc o twórczości „z drugiej ręki” nie myślę jednak o tych tylko, oczywiście, często mechanicznych zapożyczeniach. Do sztuki tego rodzaju należy zaliczyć również utwory artystów wzorujących się stylistycznie. Nie chodzi tu o stosunek zależności stylistycznej, który przecież występuje także pomiędzy artystami-fachowcami. Chodzi o przejmowanie znamion stylistycznych w sposób powierzchowny, zdradzający myślenie plastyczne sprzeczne z przejmowanym stylem, oraz niezrozumienie istoty stosowanego stylu. Jednym z uderzających przykładów takiego „stylizacyjnego kopiowania” są prace Domańskiej, Lauer i Moczyńskiego, gdzie użyto poitylizacyjnej techniki postimpresjonistów, bez zrozumienia dywizjonistycznej teorii malarstwa (amatorzy malują plankami ale używają mieszanym, złamanym kolorów, naśladowując zewnętrznie dostępną manierę, nie uzyskując kolorystycznych efektów dywizjonistycznej faktury). Na przykładzie tych obrazów widać niekorzystne skutki stylizacyjnych zapożyczeń. Kopiowanie w ogóle wymaga świadomego stosunku do oryginału. Wtedy jest pożyteczne i twórcze. Tak kopiował Rubens Delacroix, a Van Gogh Milleta.

myśl literacki utworu amatorskiego jest często samodzielny; autor pragnie przedstawić jakiś fakt przeżyty (wypadki wojenne), pejzaż, który go wzrusza, codzienną pracę lub też dać wyraz symbolicznym jakimś procesom (Postęp, Odbudowa) czy wydarzeniom (wojna, zwycięstwo). Lecz koncepcja artystyczna, forma przestrzenna, kolorystyczna, fakturowa, jest zazwyczaj niesamodzielną, pochodzi z widzianych reprodukcji czy obrazów nienajwyższego zwykłego gatunku. Wykonanie jeszcze bardziej zniekształca pierwotną wizję na skutek braku fachowego wykształcenia artystycznego.

Na te twórczości malarzy, których dotyczy te uwagi, wyróżniają się dzieła artystów oryginalnych, tych, których możemy uważać za polskich przedstawicieli „naiwnego realizmu”. Od omawianych poprzednio, mniej czy bardziej utalentowanych rysunkowo i malarsko, przeważnie zdradzających poważne braki techniczne amatorów, różnią się artysty, których nazywamy oryginalnymi, samodzielną swą koncepcją plastyczną, autonomicznością wizji artystycznej. „Idea” (znów w sensie dawnej teorii sztuki) ich dzieł dysponuje środkami artystycznymi właściwymi dla jej wyrażenia. Bułat, Staliga, Dyszkiewicz, Stepien, Ociepka, Nikifor, Kaźmierski, Cichoń wyobrażają sobie



Ociepko — „Narodziny człowieka”



Morawski — „Orkiestra”

¹⁾ N. Michailow, Zur Begriffsbestimmung der Laienmalerei, Zeitschrift für Kunstgeschichte, 1935.

²⁾ L'Art Contemporain, Paris, 1935.

Uwaga Młodzi!

Co drugi dzień w „RZECZYPOSPOLITEJ” znajdziecie tekst kwestionariusza:

NOWEJ ANKIETY — KONKURSU:

„Kim chciałbym zostać po ukończeniu szkoły?”

Konkurs jest przeznaczony dla młodzieży szkół średnich i maturalistów.

Laureaci otrzymają nagrody w postaci stypendiów.

Pierwszą listę stypendiów ogłoszono w końcu maja rb.

Rozmowę przeprowadził ROMAN KARST



Pytania i odpowiedzi

Pewien dość popularny pisarz przysłał mi w liście kartki z pytaniami, które otrzymał podczas wieczoru autorskiego w powiatowym mieście K. Kartki te leżą w tej chwili przede mną, pytania są niewątpliwie autentyczne.

Czy postaci pańskich książek istnieją tak w realnym świecie, czy są jedynie wytworami wyobraźni autora?

Czy znalezienie odpowiedzi na pytania dotyczące zagadnień życia ludzkiego i społeczeństwa stawia pan jako najwyższy cel swej pracy?

Dlaczego współczesna literatura francuska i amerykańska odznacza się pesymizmem? Czy widzi pan w tym jakieś głębsze powody, a jeśli tak, to proszę nam je podać?

Jak odróżnić dobrą książkę od złej?

Proszę o przytoczenie tytułów dzieł literackich, które najbardziej dopomogły panu w rozwoju artystycznym i ogólnym.

Jestem młody (17 lat), odczuwam głęboki wstręt do wojny. Chciałbym korzystać z pańskiego doświadczenia, usłyszeć sąd o obecnej sytuacji w świecie. Dlaczego imperializm pragnie wojny?

Czy dobra książka może być napisana językiem przeciętnego człowieka?

Co pan myśli o socjalistycznym realizmie i czy jest pan jego zwolennikiem?

Czy pisarze przyjeżdżają do nas z powodów bezinteresownych, czy też tylko z konieczności?

Czy robotnik może napisać wartościową powieść?

Dlaczego współczesna literatura nie pisze o nowym życiu mas pracujących?

Czy wszyscy pisarze realizm XIX wieku byli postępowi?

Nie wiem, czy udało mi się trafnie i wyczerpująco odpowiedzieć na wszystkie pytania — pisze mój znajomy literat — spróbuj np. wytlumaczyć w paru słowach, jak odróżnić dobrą książkę od złej, albo dlaczego współczesna literatura Zachodu odznacza się pesymizmem. Kiedy mi zadawali takie pytania (a zadawali ich wiele, przysłałem Ci za ledwie drobną część), czułem się trochę jak winowajca, bo moje odpowiedzi nie mogły pokryć w pełni ich zapotrzebowania, nie potrafiły zaspokoić ich głodu. Olód kultury jest tam ogromny. W ciągu kilku godzin wstawił jeden po drugim, młodzi chłopcy o niezgrabnych rękach albo dziewczyny, które przyszyły na mój wieczór wprost z warsztatów — i nico dręczącym z treny głosem prosiły mnie o wyjaśnienie. "My wiemy, proszę pana — powiadał jeden z robotniczych słuchaczy — że literatura to bardzo ważna rzecz dla człowieka; i chcielibyśmy z niej korzystać. Ale niektóre książki trudno nam zrozumieć, a o innych, które nam się podobają, nie wiemy na pewno, czy są dobre. Niech pan nam wytlumaczy, jak należy unikać pomyłek w takich kwestiach". Czy ty to rozumiesz? Jak należy unikać pomyłek w takich kwestiach! Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z ciężaru tej niesławnej próby, z ogromu nadziei, jaką oni wiażą z nami, pisarzami, którzy wśród nich się zjawiali. Jeden obiad autorski w przeciętnym powiecie odsonił mi wielkość odpowiedzialności, jaka dziś na nas spoczywa. Czy zdołamy jej sprostać?

Na to pytanie chciałbym odpowiedzieć z mojej skromnej szpalty. Upowszechnienie kultury jest niewątpliwie jednym z najtrudniejszych, ale i najbardziej zaszczytnych zadań, jakie stawia przed sobą socjalizm. Nie raz dochodziły mnie głosy zniechęcenia, nie jeden pisarz składał rozpacze i relacje z swych pierwszych zerkań z prostymi czytelnikami. Znam pewnego poetę, który powrócił z występu autorskiego zlanym, bo w dniu, gdy miał czytać swoje wiersze, do miasteczka przyjechał prestidigitator Waldni z Piotrkowa i na wieczór poetycki przyszło za ledwie 5 osób. Znam przystojnego prozaika, któremu po godzinnej lekturze najniecieńszych jego utworów przysłała jakaś mieszczańszka kartkę z pytaniem: „Czy pan ma żonę?”

Ale takie wypadki, komiczne czy smutne, nie są świadectwem prawdy. Prawda jest inna: dzień za dniem i miesiąc po miesiącu nawiązuje się trwałe zbliżenie między twórcą a masą czytelniczą, między treściami kultury a życiem społeczeństwa. Świadczy o tym chociażby pytania, cytowane na początku, nie raz może naiwne, a jednak dobrze wrażliwe.

W naszych oczach, wzrasta dziś odpowiedzialność za słowa, które się wypowiadają. Nie padają one w próżnię; w każdym mieście i wsi słuchają ich wietolityczne rzesze spragnione uczciwej prawdy o człowieku i świecie. Pisarze mają do wygrania cenną szansę: zdobyć zaufanie tych ludzi, utwierdzić ich w nadziei, zadokumentować swoją z nimi solidarność. Powinno docierać wraz z oświatowcem i partyjnym działaczem terenowym do najbardziej odległych kątów kraju. Znajdą tam żarliwych słuchaczy i niezawodnych przyjaciół. Po każdym spotkaniu usłyszysz serdeczną prośbę: „Nie zapominajcie o nas, przyjdźcie znowu!”

W tej wielkiej pracy, która w przyszłości przyniesie wspaniałe wyniki, trzeba pamiętać o jednym: o postawie socjalistycznego człowieka, który nie cofa się przed odpowiedzialnością, który nie zraża się trudnościami — lecz podejmuje odpowiedzialność i pokonywa trudności. Nawet jeżeli wydają się nie do przewyższenia dla innych. Ta postawa powinna przeniknąć w najgłębsze warstwy naszego uczucia i stać się niemiknym motorem naszych czynów. Mieszczańskie „czy warto?”, mieszczańskie „motyły i słońce” należy zastąpić niezachwianym przekonaniem, że człowiek w walce o lepszy świat ma przeciw sobie tylko własną słabość. Dlatego na pytanie mego przyjaciela-pisarza: „Czy zdołamy sprostać tej odpowiedzialności?” — odpowiadam z głęboką wiarą: „Na pewno zdołacie sprostać!”

KANDYD.

Powojenne drogi literatury niemieckiej

Rozmowa ze Stefanem Hermlinem

Po raz pierwszy mieliśmy sposobność spotkać się z antyfaszystowskim pisarzem Niemiec w czasie Kongresu Pokoju we Wrocławiu. W skład delegacji niemieckiej wchodził m. in. Anna Seghers, Gerhard Pohl, prof. Hans Mayer i Hans Marchwitz. Rozmowy prowadzone w kuluarach Politechniki Wrocławskiej wykazały nieodzowność nawiązania bliższego kontaktu między pisarzami polskimi a przedstawicielami postępowej literatury niemieckiej. Walka tych ostatnich o demokratyczne Niemcy jak również ich walka z odradzającym się w strefach anglosaskich neofaszyzmem i duchem rewanżu wobec Polski ma dla nas niepoślednie znaczenie. Wzajemna wymiana myśli i zbliżenie może bez wątpienia powiększyć sukcesy w tej walce i przyczynić się do normalizacji wzajemnych stosunków na zasadzie przyjaźni i obopólnego zrozumienia. W ubiegłych latach Berlin gościł kilkakrotnie polskich muzyków i śpiewaków, którzy zyskali powszechne uznanie publiczności niemieckiej. Ostatnio bawił u nas — na zaproszenie Związku Literatów Polskich — sekretarz komisji literackiej „Kulturbandu” i współredaktor miesięcznika „Aufbau”, poeta Stefan Hermlin, do którego zwróciliśmy się z prośbą o wypowiedzenie się na temat kulturalnego odrodzenia demokratycznych Niemiec i obecnej sytuacji w literaturze niemieckiej.

Stefan Hermlin należy, pomimo swego młodego wieku, do wypróbowanych działaczy antyfaszystowskich. 34 lata liczący pisarz ma za sobą piękną przeszłość rewolucyjną. Po objęciu władzy w Niemczech przez hitlerizm, Hermlin działał do 1936 r. nielegalnie w swoim kraju, po czym emigrował do Anglii, gdzie zaciąga się w 1937 r. do międzynarodowej brigady hiszpańskiej. Z chwilą ostatecznego załamania się oporu republikańskiego w Hiszpanii, przekłada się do Francji, gdzie zastaje go w rok później druga wojna światowa. W czasie okupacji niemieckiej Hermlin pozostaje w ścisłym kontakcie z francuskim ruchem oporu, pisząc m. in. do nielegalnych czasopiśm wydawanych przez Eluarda i Aragona. W r. 1943 zostaje aresztowany przez policję Vichy i zapoznaje się z niezliczoną ilością obozów pracy przymusowej. Do kraju wraca po zdobyciu Berlina przez Armię Czerwoną i bierze czynny udział w politycznym i kulturalnym życiu Niemiec w strefie radzieckiej.

Dorobek literacki Stefana Hermlina składa się z czterech tomów poezji, z których ostatni pt. „22 ballady” otrzymał w r. 1948 najwyższe odznaczenie ogólnoniemieckiego związku pisarzy, tzw. Nagrodę Heinego. Hermlin jest również autorem zbioru novel oraz zbioru krytycznych esejów o literaturze niemieckiej, rosyjskiej, francuskiej, angielskiej i włoskiej, a także tłumaczem wierszy Eluarda, Pablo Nerudy i pieśni murzyńskich (ogółem cztery tomy przekładów).

ALEKSANDER JACKIEWICZ

K A K A O

„Lepkie i świeże owoce kakao mocno lgnęły do stóp robotników w polu, tworzyły grubą podszewkę, której nigdy już woda zmyć nie mogła. A w wszystkim robotnikom najemnym, zbrodniarstwu, plantatorom, adwokatom, lekarzom, kupcom — wszystkim legła na duszy gruba warstwa lepkiego kakao, przyswarzała mocno do serca... i nic ani uczucie, ani kultura, ani wykształcenie — nie zmyć jej nie mogło. Kakao — to pieniądź, to władza, to życie...” — oto założenie powieści „Ziemia krwi i przemocy”, brazylijskiego pisarza Jorge Amado.

sienu do tych postaci nie podkreślił dostatecznie, że w innych warunkach postępowaliby oni inaczej, że „nikt nie rodzi się zły albo dobry...”, że „los ludzi krzywi” — jak mówił pewien zawieszony starzec na okręcie pływającym do Ilheus.

Skrzywienie to daje się stosunkowo łatwo wykryć przy konfrontacji wstępne rozdzielu z resztą utworu. Autor za poznaje nas z grupą emigrantów z głębi kraju pływających do „ziemi obiecanej”. Z rozmoów podróży dowiadujemy się, że w ziemi Ilheus toczy się bezwzględna walka o posiadanie, że większość przybyłych ginie od chorób, wycieńczenia, nędzy i skrytobójczych kul. Fortuny szybko rosną i szybko giną, bo pieniądź zdobyty na plantacjach „to zły pieniądź, przekleństwo! Nie trzyma się ludzi...”. Na pokładzie okrętu poznajemy Jana Magalhaesa, zawodowego gracza, któremu w cywilizowanym świecie zabrakło już miejsca do życia, oraz młodego Muluata — Antonia Vitorę, który uchodzi przed nędzą swej rodzinnej wioski, pozostawiając tam uchorzoną dziewczynę i obiecując sobie powrócić do niej po zdobyciu fortuny.

Czytelnik śledzi dalszy watek powieści w oczekiwaniu, że autor na przykładzie wprowadzonych postaci ukaże walkę o uśmiech i fortuny, kłęk, niemożność psychicznego oduwienia się człowieka od gry nawet przegranej w kakaowym hazardzie. Tymczasem w dalszych partiach powieści uwaga pisarza koncentruje się wokół losów bogatych plantatorów: pulkownika Horacego i braci Badaró. Ludzie ci mają już za sobą trud zdobywania majątku, to ci nieleńcy, którym szczęście i własne okrucieństwo dopisało; walczą oni teraz o powiększenie swych dóbr. A ostateczny upadek Badarów został nam podany w streszczeniu, nie znamy jego konsekwencji, nie przeżywamy go.

Gracz Magalhaes w układzie fabularnym schodzi na daleki plan, wreszcie jego przypadkowy ożenek z bogatą dziewczką nie jest istotny dla zagadnienia, które nas interesuje. Młodociany Vitorę wprowadziliśmy przedko zapomnia o swich młodzieńczych marzeniach i staje się płatnym zbirem Badarów, ale autor i tej postaci nie wykorzystował, aby uoszcnić czytelnikowi proces deprawacji, jakiej podlega człowiek opętany gorączką pieniądza. Wielokrotny morderca Vitorę nie zdaje sobie sprawy ze swoich zbrodni, tak samo jak jego chlebowodcy, którzy oszukując i zabijając nie uświadamiają sobie własnego upadku. Autor w odnie-

Ten niedostatek pisarz częściowo równoważy przez wprowadzenie do powieści fragmentarycznej niestety postaci Murzyna Damazego, drugiego obok Vitorę zawodowego mordercy na usługach braci Badarów. Pewnej nocy, przed wyruszeniem na „robotę”, Murzyn słyszy przez okno rozmowę, jaką prowadzi między sobą Badarowie. Padają takie słowa: „...czy zabijanie ludzi sprawia ci przyjemność? Czy ty nie boisz się? Nie, nie, czuję się w sobie. Tataj — i starczy Badaró wskazał palcem na serce”. Murzyn nie widział tego ruchu, ale słowa zapamiętał.

I oto, gdy teraz czytujemy w zasadzie na swoją ofiarę, „jakis dziwny żal ścisła naiwne jego serce. Nigdy Damazy nie czuł tego, co teraz czuje. Nie rozumie, co to może być; nie go nie boli, nie jest chore, a przecie jest mu dziwnie niewesoło...”. Dotąd Murzyn miał zawsze sumienie spokojne, w chwilach wolnych od zabijania bawił się z dziećmi, był dla wszystkich zawsze pełen zrozumienia, kochał swoich chlebowodców. W wspaniałym opisie nocnej rozterki, jaka niespodziewanie ogarnęła serce Murzyna, autor każe mu się zastanowić nad konsekwencjami i istotą zbrodni. Jeśli dziś zabije człowieka, „będzie nienawidził Murzyna, nie będzie takie jak inne dzieci, które bawią się z Damazem, jedzą konno na jego plecach, kiedy nie mogą jeszcze dosięgnąć najdogodniejszego nawet osła. Nie będzie jadło owoców drzewa chlebowego, które zerwie Damazy, ani ziołowych bismandów... Będzie w strętem patrzyło na Murzyna, dla niego Damazy będzie zawsze zabić jego ojca”.

To moralne nasświetlenie sprawy tak liczywna na tamtych ziemiach zbrodni uuczliwieca utwór, daje mu głębie. Szkoda, że autor nie rozwinął szerzej zagadnienia Damazego, nie przerzucił go na inne postaci grające w kompozycji powieści główne role. Owszem — tu i ówdzie oro przebliskuje, ale ginie w natoku wypadków pomniejszego znaczenia.

Sprawa Damazego prosi się o rozwinięcie także ze względu na swój walor społeczny: jeśli Murzyn nie zastrzelił swej ofiary — chybił lub odmówił wykonania rozkazu swego pana — skaże się na klęskę, pójdzie pracować na plantacji i tam zginie z wycieńczenia i nędzy. W kraju kakao ucziwa praca nieie człowieka zagłada.

Damazy dostaje pomieszenia zmysłów. Autor przedtem jeszcze każe mu się udąć po poradę do czarodzieja Jeremiaza mieszkającego w puszczy. Ale tu już jesteśmy w kręgu innego zagadnienia, zagadnienia „dziwności”, które, obok elementu realizmowego, zajmuje sporo miejsca w książce Amado.

Atmosfera bajeczna, dawkowana na przestrzeni całego utworu w mniej lub więcej zdecydowanej formie, daje mu urok pewnego egzotyzmu, ale zaciera niemiernie jego kształt ideowy. Tak się też dzieje w epilogu sprawy Damazego. Obłąk, ucieczka do baśniowej puszczy, nagła śmierć czarodzieja, która odbiera pentitentowi jedynego możliwego doradcę — nie pozwól autorowi ukazać kłęski człowieka w realnym świecie. Klęska Damazego rozgrywa się w półfantastycznym wymiarze.

A więc świat bajki. Należy zaznaczyć, że bajka to umowna, że autorowi chodzi raczej o stworzenie atmosfery „dziwności”, w gruncie rzeczy nie naruszającej realizmowej formy powieści. Noce Estery, żony plantatora Horacego, są pełne krzyku żab pożeranych przez węże, pełne szeleństw i tajemniczych głosów, huk strażaków zbiorów, z rozkazu jej męża mordujących niewygodnych dla sąsiadów. Lecz obraz najścia węży na dom Estery,

Nasza walka o pokój i demokrację — uprzedza moje pytanie Hermlin — jest tylko fragmentem walki obozu postępu na całym świecie. Nasze wysiłki zmierzają w chwili obecnej przede wszystkim do zapewnienia jedności niemieckiej, która jest nie tylko podstawą naszego bytu, lecz także gwarancją przyjaznych stosunków z sąsiadami Niemiec. Reakcja niemiecka w strefach zachodnich, przekształcanych w szybkie tempo w kolonię amerykańską, zmierza świadomie do restytucji czasów Bismarcka. Nasz przeciwnicy polityczni nie mówią już dziś o jedności, lecz o zdobyciu strefy wschodniej, a nawet o oderwaniu polskich ziem zachodnich i o wojnie, choć wiedzą, że nowa wojna byłaby nieopisaną w skutkach katastrofą przede wszystkim dla samych Niemiec.



Stefan Hermlin

Postępowi pisarze niemieccy — kontynuuje Hermlin — są czynnymi członkami wszystkich organizacji, których celem jest odbudowa jednolitych i demokratycznych Niemiec. Nasza praktyczna działalność ogranicza się nie tylko do pracy w organizacjach kulturalnych, a zwłaszcza w „Kulturbandzie”, lecz obejmuje również instytucje o szerszym zakresie. Pisarze niemieccy są licznie reprezentowani w Niemieckiej Radzie Ludowej, która jest pierwszym parlamentem niemieckim po wojnie. W Radzie tej zasiadają m. in. Arnold Zweig, Anna Seghers, Johannes R. Becher, Aleksander Abusch. Z początkiem Rady Ludowej solidaryzuje się również wielu intelektualistów w strefach zachodnich, aczkolwiek nie są oni jej członkami. Wymienie choćby prof. Nowacka, założyciela tzw. „Nauheimer Kreisa”, czy też niedawnego zmarłego prof. Vosslera, najwybitniejszego romanisty w Niemczech.

Jaki wpływ wywiera rozbięcie Niemiec na rozwój twórczości literackiej?

Książka tygodnia

mimo że oddany z niesamowitą plastyką, jest tylko wizją przerażonej kobiety. Obraz puszcz — prawie zawsze przedstawiany jako siedlisko wilkołaków i bezdomnych dusz — jest prawdopodobnie wysnuty z fantastycznych opowieści pracujących na plantacjach Murzynów, białych robotników czy już wówczas dogorywających plecion Indian. Szkoda jednak, że autor nie zaznacza, skąd czerpie ten umowny materiał do swoich opisów, szkoda, że nie maluje obrazu za pomocą jakiegos naukowego medium, choćby za pośrednictwem zdrowego czy nawet obłąkanego Damazego.

Z chwili, gdy obok realizmowych opisów budujących się kakaowymi miast, pełnych sprzedających adwokatów i sędziów, prostytutek i brutalnych plantatorów, księży chodzących z rewolwerami przy boku i prawie europejskich dewotek, gdy obok tych obrazów wyrasta puściska z potępionymi duszami, z murzyńskim prorokiem Jeremiazem przeklinającym puszcze, którą trzeba Horacy i bracia Badaró, i gdy ta magiczna klatwa zaczyna działać w świecie towaru, kuli i pieniądza — czytelnik staje w obliczu dwóch różnych światów umieszczonych na jednej płaszczyźnie, nie posiadających żadnego wspólnego mianownika.

Natomiast, gdy autor wprowadza do utworu fragmenty pieśni i ballad powstałych jako echo walk między konkretnymi ludźmi działającymi na przestrzeni powieści, gdy te pieśni zupełnie wyraźnie określają społeczno-literackie oblicze wypadków historycznych, taka konstrukcja obrazy służy ideowej i formalnej jedności utworu, podkreśla jej historyczność.

I na odwrót: w realizmowym obrazie nędzy „dotów społecznych” kakaowego kraju autor wychodzi z prostej i wzruszającej ballady o trzech siostrach, które, opuszczone przez mężów, zeszyły na jedyną możliwą drogę dla samotnej kobiety w tym środowisku, na drogę prostytucji. Opis pogrzebu ojca trzech siostr, uwzględniający brutalne kontrasty towarzyszące wegetacji robotników plantacji kakao, należy do najlepszych partii powieści. Młody robotnik, który przyniósł córkom ciała ojca zmarłego na robotach w głębi puszczy, nawet w obecności trupa nie może opanować pragnienia fizycznego posiadania najmłodszej z osieroczonej córek, Marii. Chłopiec od kilku miesięcy nie widział kobiety. Mnich odprawiający egzekwie nad nieboszczką przyszedł tylko dlatego do domu rozupsty bo mu dobrze zapłacono pieniędzmi zarobionymi w takim właśnie domu.

W obecności trupa robotnicy gawędzą na temat swego losu. Człowiek niedawno przybyły na te ziemie dowiadyuje się, że wszyscy robotnicy pracują w śmiertelnym trudzie, bez nadziei na polepszenie swego bytu. „Stąd się nigdy nie wraca — mówi jeden z robotników do przybyłego. — Od pierwszego dnia jesteś przytyku do sklepu. Jeśli chcesz iść, chodź teraz zaraz, jutro już będzie za późno... Jeśli chcesz odejść, chodź z nami nieie nieboszczyka — będziesz miał zastęgo... Jutro będzie za późno...”

„A dokąd pójde? Co będę robił? — pyta przybyły. Lecz nie dostaje odpowiedzi. Wielka ilość postaci, wypadków, zagadnień różnej bardzo hierarchii — utrudniła pisarzowi zachowanie nienagannych proporcji dzieła. Ale właśnie te przerosły i mielizny, obok partii o niezaprzeczonym formacie literackim, ukazują twórcę, który z drapieżną ambicją, drogą niemających ofiar, szuka historycznej prawdy ludzkich namietności, jej punktów zapalnych. Kształt utworu jest nierówny i kontrastowy, ulepiony z różnych kruszców nawet w najmniejjszych niekiedy formach stylistycznych, co wykręć łatwo dzięki starannemu trudowi tłumacza, ale skupienie wszystkich zagadnień wokół jednej prawdy, prawdy pieniądza i towaru, daje powieści określony pion ideowy.

Aleksander Jackiewicz

Sytuacja, jaką przedstawiłem wyżej, nie wpływa oczywiście dodatnio na kształtowanie się nowej literatury niemieckiej. Pomijając już nasze trudności w przewidywaniu rozłamu między pisarstwem emigracyjnym a wewnętrznym, stojmy obecnie w obliczu o wiele większego niebezpieczeństwa: rozbięcia naszej literatury na „zachodnią” i „wschodnią”. Władze okupacyjne stref zachodnich nie porzekają bowiem na rozłamowej akcji w dzie dziejnie polityczno-państwowej, lecz dążą również do rozczłonkowania naszego życia kulturalnego i odgraniczenia politycznym korodem produkcji literackiej oraz czytelnika stref zachodnich od postępowej literatury niemieckiej przeszłości i terażniejszości. Bezpośrednio po załamaniu się reżimu hitlerowskiego istniała pewna możliwość publikowania antyfaszystowskich książek w całym kraju. Ale już wtedy władze amerykańskie nie troszczyły się wcale — i nie było to zjawisko przypadkowe — o odpowiednią selekcję produkcji literackiej. W pogoni za ilościowym rekordem tytułów ustalono w zachodnich prowincjach maksymalny nakład książek na 5000 egzemplarzy bez prawa wznowienia. W strefie radzieckiej natomiast kierowano się w tym zakresie rozsądnym planem, popierając dzieła o treści postępowej i wysokim poziomie artystycznym. Tak więc „Siódmy krzyż” Anny Seghers czy też „Stalingrad” Pliviera osiągnęły kilkaset tysięcy nakładu. Należy uwzględnić, że czytelnik niemiecki po klęsce Hitlera pochłaniał bez wyboru każde drukowane słowo. Zawszyli tu chęć dowiedzenia się, co piszą o faszystach ludzie stojący po drugiej stronie barykady. Każdy nakład był po prostu rozchwytywany. W tym okresie Niemcy zostały zalane nie powodzią czasopiśm — było wśród nich kilka dobrych — literackich i artystycznych.

W miarę wzrastającej refaszystacji Niemiec zachodnich oraz potęgowania się polityki rozłamowej, władze anglosaskie poczęły wywierać coraz większą presję na twórczość literacką po przez wydawnictwa. Na wypadek nieposustuszenia ze strony wydawcy stosowano groźby, odmawiano papieru lub cofano licencję.

Gdzie skupia się ośrodek niemieckiego życia literackiego oraz jakie istotne różnice zachodzą między twórczością literacką poszczególnych stref?

Prócz kilku największych pisarzy niemieckich, którzy — jak np. Tomasz i Henryk Mannowie — przebywają za granicą, większość wybitnych pisarzy wróciła już do kraju i osiedliła się przeważnie w strefie radzieckiej. Do nich należą: Arnold Zweig, Anna Seghers, Johannes R. Becher, Bertold Brecht, Fryderyk Wolf, Bodo Uhse, Willi Bredel, Hans Marchwitz i wielu innych. Do grupy postępowych pisarzy należą również literaci, którzy nie opuścili Niemiec, jak Bernard Kellermann, Gerhard Pohl, Günter Weisenborn, który walczył w niemieckim ruchu oporu i został zwolniony z obozu przez armię radziecką i inni. Do naszych sprzymierzeńców zaliczamy również niektórych pisarzy ze stref zachodnich, że wspomnę o katolickim poecie Reinholdzie Schneiderze, który pisał nielegalne wiersze antyhitlerowskie, o Axelu Eggebrechcie i Eryku Kästnerze.

W postępowej literaturze niemieckiej przeważa głównie tematyka społeczna, dociekająca przyczyn faszyzmu oraz środków jego zwalczania. Nasz wzrok jest jeszcze wciąż zwrócony ku przeszłości, która absorbuje naszą uwagę. Chcąc stworzyć lepszą przyszłość, musimy spojrzeć prawdzie w oczy, przeanalizować ogrom i źródła zbrodni faszyzmu, który zadał tyle ran Europie i zhańbił nasz naród w obliczu całego świata. Inaczej przedstawia się rzecz na zachodzie, gdzie literatura jest dławiona przez standartową produkcję wzorującą się na najgorszych przykładach amerykańskich. Rynek wydawniczy jest tam zalany mętną falą sensacyjnych powieści i pamiętników, które ujawniają sypialniane tajemnice zgasłych gwiazd hitlerowskich (miłośki Ewy Braun itp.). Problematyka społeczna niektórych dzieł polega na opisie „walki” niemieckich generałów z Hitlerem oraz na wybielanu byłych narodowych socjalistów. Upodobania snobów zaspokaja kilka „awangardowych” pisarzy — to Ernst Kreuder, który karmią swoich czytelników sarte’owską makabą przyodzianą w surrealistyczne szaty.

Pod koniec zapytuję Hermlina o przekłady obcych dzieł na język niemiecki oraz o wznowienie klasyków niemieckich.

Pomimo trudności związanych z ograniczeniami dewizowymi autor posiada niemiernie praw wydawniczych przez niemieckie wydawnictwa za granicą (Szwajcaria, Szwecja), przetłumaczono u nas w ostat-

(Dokończenie na str. 8)

PRZEGLĄD PRASY

POLONICA AUSTRIACKIE

Świeca i ogarek

czyli w ważnej sprawie

Tak się szczęśliwie moim zdaniem składa, że pierwszy felieton prasowy dla „Kuźnicy” już warszawskiej może zacząć od polemiki, i to od polemiki o sprawach bardzo ważnych, bo wydawniczych.

„Kuźnica” była jednym z pierwszych pism w Polsce, które po wojnie zajęły się nie tylko oceną trafności i piękności artystycznej nowo wydawanych książek, ale w równej przynajmniej mierze zajmowały się ważną sprawą stworzenia podstawowej biblioteki w Polsce. Chodziło mianowicie o jak najszerszą reedycję a najczęściej niestety nawet o wydanie po raz pierwszy tego całego dorobku literatury przeszłości, który dziś nadal jest dla nas cenny i na którym można kształcić „podobania i smak literacki mas czytelnicy, pozabawionych dotąd, wskutek niesprawiedliwego układu stosunków społecznych, dostępu do tych arcydzieł.

Stąd takie pozycje w „Kuźnicy”, jak np. artykuł Kotta o „Marksie i Flaubercie”, jak jego cykl o „Lalce” i „Guliverze”, jak rozprawa „Ważka o Majakowskim”, jak artykuły i prace Jastruna o Mickiewiczu, Słowackim, jak liczne prace innych o klasycznej literaturze europejskiej itd. — świadczące dobitnie o tym, że kultura literatury klasycznej, polskiej i obcej, służyła nie tylko do snucia wniosków artystycznych, ale i do wypowiadania stosunkowo nowych w Polsce prawd. Wiadomo — każda piska swój ogon chwali... Wole więc raczej przetrwać na tym stanowisku, by nie narażać się na zarzut stronniczości, i przede do meritum sprawy; niezależnie od tej strony działalności naszego pisma, o której wspominałem wyżej, postanowiono pilnie i krytycznie zajmować się stanem rynku wydawniczego w Polsce, stan ów bowiem decyduje o pewnym sensie o tym, czy równoległe do olbrzymich zmian w stosunkach społecznych nastąpią odpowiednie zmiany w umysłach. Oczywiście — sprawy wydawnicze są jedynie odzwierciedleniem całego frontu bitwy o oświatę i kulturę, bitwy, która jak się zdaje, została już przez obóz lewicowy w zasadzie wygrana. Ponieważ rynek wydawniczy wykazywał złaśpicza w pierwszych latach powojennych nie tylko nikłą ilość pozycji z nowej literatury współczesnej, ale też dość znikoma ilość pozycji z literatury klasycznej, postanowiono w naszej redakcji zająć się także tą stroną ruchu wydawniczego. Jak powstały skromnie w rozmiarach noty opatrzone tytułem „Zasługi wydawców”, w których co tydzień lub dwa dokonuje się sumarycznego bilansu wydawnictwa literatury klasycznej. Warto tu przypomnieć, że wierny humanistycznym zasadom kronikarz wydawnictwa klasycznych notował również książki spoza literatury pięknej, np. dzieła filozoficzne, klasyczna literatura marksistowska, wszelkie pozaliterackie prace, których wartość i postępowy kierunek — każde je zaliczyć do „pracy w swojej dziedzinie klasycznej”.

Zdawałoby się, że tego rodzaju skromna działalność kronikarska powinna się raczej spotkać z przyjęciem przychylnym. I rzeczywiście — ta kronika wydawnicza niejednokrotnie już bywała cytowana w artykułach dotyczących spraw wydawniczych. Ograniczamy zaś naszą rubrykę wydawniczą do dzieł klasycznych, skoro książki z bieżącej literatury omawiali i omawiali recenzenci i krytycy w licznych artykułach.

Leżę oto spotkała nas nagana. Felietonista „Szpilek” Jan Szeląg poświęcił specjalny felieton owej rubryce „Zasługi wydawców”. W ten sposób sprawy wydawnicze dostały się ureszcie na łamy jednego z najpopularniejszych pism w Polsce. Nic mnie bardziej niż to właśnie nie cieszy. Ale jednocześnie muszę obronić rubrykę „Zasługi wydawców” przed atakiem Szeląga, nie tylko dlatego, że autor tej rubryki jest mi bliiski, ale przede wszystkim dlatego, że bliiska mi jest sprawa o którą ta kronika pośrednio walczy — sprawa stworzenia podstawowej biblioteki literatury klasycznej, biblioteki, jakiej na dobrą sprawę nikt w Polsce nowoczesnej nie miał, a jaka np. ludność ZSRR posiada od dawna dzięki wysiłkom Gorkiego i innych redaktorów „Sowieckiej Biblioteki literatury światowej”. Praca ta, rozpoczęta niemal na zaprzęt po rewolucji, przyswoiła olbrzymim masom czytelnictwu w ZSRR wszystkie arcydzieła klasycznej literatury światowej.

Jan Szeląg w swoim felietonie powstaje groźnie przeciw naszej rubryce, zarzucając jej, że ogranicza swoje ramy do dzieł starożytnych. Szeląg twierdzi dalej, że znacznie prostszą rzeczą jest przelać do drukarni tom Balzaca w przekładzie Boya i kazać go wydrukować, niż znaleźć dobry utwór współczesny. Słowem, Szeląg niedorzecznie

daje do zrozumienia, że rubryka „Zasługi wydawców” to właściwie Okopy Świętej Trójcy, skąd Stendhałem strzela się w postępową literaturę współczesną.

Oczywiście wszystkie uwagi Szeląga są fałszywe, ponieważ jego teza jest w ogóle niesłuszna. Szeląg jak gdyby przeoczył wszystkie pierwsze i drugie kolumny naszego pisma, gdzie nieustannie, od trzech lat, pisał się i pisze się nadal o literaturze współczesnej, stawia się jej postulaty i sprawdza się jej osiągnięcia. Jego wszystkie uwagi do „Kuźnicy” nie doszły. Razi go rubryka, która omawia wyłącznie pewną dziedzinę ruchu wydawniczego. Rubryka, której miejsce moim zdaniem jest właśnie w „Kuźnicy”.

Pisze Szeląg, że łatwiej posłać tom Balzaca do drukarni, itd. Jeżeli to takie łatwe, to dlaczego w ciągu trzech lat właściwie tylko jedna spółdzielnia wydawnicza posyłała Balzaca, a nie tylko Balzaca, do drukarni, a inne wydawnictwa czyniły to o wiele rzadziej? Jeżeli to istotnie takie łatwe, to dlaczego nie posłaliśmy jeszcze dotąd do drukarni Słowackiego, nie mówiąc już o innych naszych wielkich pisarzach dawniejszych okresów? Dlaczego nie posłaliśmy jeszcze do drukarni tomów Szekspira i L. Tolstoja, Moliera i Heinego?

Istotnie — Szeląg miałby rację w swoich zarzutach, gdyby rynek nasz był zalany książkami, gdyby wydawnictwa nie przyjmowały do druku literatury współczesnej, gdyby ureszcie wydawanie klasyków — jak to nie słusznie Szeląg sądzi — polegało jedynie na „posyłaniu do drukarni”. Ale sytuacja wygląda w rzeczywistości inaczej i właśnie w imię polepszenia tej sytuacji polemizuję tu z Szelągiem. Uważam go, że łatwiej dziś mimo wszystko wydać wiersze młodemu, zdolnemu debiutantom niż staremu Trembeckiemu, że młody, postępowy poeta zdobywa dziś — i słusznie — nagrody na konkursach, ale stary, postępowy Heine czeka polskiego wydawcę. I stary, postępowy Goethe, i stary postępowy Molier, i stary, ludowy Szekspir... To są fakty.

Pisze Szeląg w poczynionych „Szpilekach”, że musimy dbać o nowych Balzaców i Szekspirów. Oczywiście. Ale nie naradzaj się bez starożytnych. Przeglądając pisma literackie, pisma popularne, obliczone na masowego czytelnika, wszędzie znajdziemy Szeląga artykuły o klasykach, fragmenty ich dzieł, itd. O czym to świadczy? Świadczy to o niewłaściwym o zdrowym i chlubnym zainteresowaniu najszerszych rzesz czytelników tym dziedzictwem, które ma być przez nie przejęte i przemysłowane. W tych warunkach niesposób oceniać się od tego masowego nurtu, niesposób zamknąć oczy na to, że dawna klasyczna literatura musi być nie tylko ceniona na słowo, ale przede wszystkim wydawana. Tenu dziełu służy atakowana przez Szeląga rubryka.

Nie pisalibyśmy tyle na ten temat, gdyby zacepiono „Zasługi wydawców” w innym piśmie. Ale jak rzekłem, „Szpilek” są pisem masowym. Tym bardziej więc na ich łamach nie należy kwestionować roboty służnej i pozytywnej. Tym bardziej podkopujemy w szerokie rzesz czytelników tego zaufania, jakie pokładają one słusznie w literaturze klasycznej. Gdyby nasze pismo przechodziło do porządku dziennego nad sprawami literatury współczesnej i nad zagadnieniami współczesnego życia kulturalnego, wówczas rubryka wydawnictwa klasycznych mogłaby rzeczywiście być owa „przysłowiowa kropka”, która przepelniała by kielich. Ale rzecz nie tak wygląda — i rubryka wydawnictwa klasycznych jest raczej kropką w morzu informacji o współczesności.

Gdyby Szeląg był wierzący, poradziłbym mu, aby na intencję atakowaną przez siebie rubryki postawił raczej świeczkę. Kto wie, czy ta rubryka nie przyczyni się jakoś do tego, by zwiększyła się ilość wydawnictwa klasycznych, z których uczyć się będzie nowy Balzac czy Molier?

Ala Szeląg, wiem to z jego felietonów, jest niewierzący, podobnie zresztą jak ja. A więc Bogu świeczki nie zapali! Tym bardziej więc ubolewać trzeba, że w swoim antyklasycznym felietonie mimo woli zapalił diabłu ogarek. A czynić tego nie należy, bo diabeł i tak nie spłi „Wciąż jeszcze trafia do naszego czytelnika ta literatura mieszczańska, która zerwała z wielką, postępową i humanistyczną tradycją literatury klasycznej.”

Od redakcji. Sprawa naszego spojrzenia na literaturę klasyczną i jej stosunek do nowej literatury współczesnej wymaga sprzecyzowania — do sprawy tej w najbliższym czasie wrócimy.

Rozmowę przeprowadził Roman Karst

Zaznaczam — nie chodzi ani o polski kościółek na Kahlenbergu, ani o kamiennego hursarza spoglądającego na Wiedeń z dachu siedmiopiętrowej kamienicy na Graben, ani nawet o plac Sobieskiego w IX okręgu. Bo też nie ludźmy się: jeżeli wiedeńscy wspominają historię, to na pewno nie tę tak bardzo odległą, a jeżeli interesują się Polską, to raczej jej węglem niż odsieczą króla Jana. Zbyt dobrze pamiętają tu wszyscy ową pierwszą powojenną zimę, kiedy wieczorami gasło światło, ciśnienie gazu malało do zera, a w mieszkaniach okrywano się palmami. Zamówiony polski węgiel nie nadszedł, bo Polska nie miała wówczas wagonów na jego przesłanie, austriackie zaś wagony stały bezczynnie na torach, bo Austrii brak było węgla do lokomotyw. Jeszcze dziś Heinz Conrads śpiewa o tym zabawną piosenkę w „Zanzibarze”, choć już węgiel polski przychodzi regularnie i bez przeszkód. Nic dziwnego, że większość artykułów o Polsce pisma tutejsze poświęcają jej rozwojowi gospodarczemu.

W porównaniu z węglem kultura polska jest stanowczo upośledzona. Oczywiście popularna jest polska muzyka, szczególnie Szymanowski, nie mówiąc już o Chopinie, któremu radio poświęciło niedawno słuchowisko Hansa Miller-Einingera, a pisarz Erich Korningen podobno udaną książkę. Oczywiście wiadomo coś niecoś o naszej grafice dzięki wspaniałej wystawie, o której donosiła w swoim czasie nasza prasa w kraju. Poza tym jednak — tabula rasa.

Pomimo niesłusznych przypuszczeń, z jakimi

mi zetknąłem się w Polsce nie napotyka się tu bynajmniej na zdecydowanie wrogie nastawienie wobec Polski. Bezwzględnie, istnieją w pewnych sferach niechęć, nie zapominajmy przecież, że nazizm wcale tu jeszcze nie wygasł. Jednakże sfery intelektualne są bardzo ciekawe zasadniczych osiągnięć i przemian kultury polskiej. Zarówno teatry jak firmy wydawnicze proszą o polskie przekłady, eliminują jednak z góry wszelką tematykę wojenną i przedwojenną. Ciekawi jedynie twórczość współczesna, przedstawiająca obecną polską rzeczywistość. Może dlatego tak trudno zdecydować się teatrom na wystawienie „Lata w Nohant” Iwaszkiewicza i „Ksanotypy” Morstina, chociaż istniejące przekłady bardzo się na ogół podobają.

Z polskiej literatury „Amandus-Edition” przygotowuje obecnie wydanie „Nocy i dni” Dąbrowskiej, dotychczas zaś ukazały się Jackiewicz „Czarodziej” („Der Zauberer”) i „Rzeka” („Der Fluss”) oraz niedawno Andrzejskiego „Wielki Tydzień” („Die Karwoche”). Poza tym w licznych pismach ukazują się od czasu do czasu noweli i opowiadania polskich autorów. Z ostatnio drukowanych należy wymienić Brezy „Partię golfa”, Dygata „W zwierciadle czasu”, Iwaszkiewicza „Matkę Joannę od aniołów”, Pruszyńskiego „Człowieka spod rokołowego kościółka”, Rudnickiego „Czysty nurt” i Zukrowskiego „Przed furta”.

Bezspornie jednak najlepszym ambasadorem kultury polskiej był dotychczas „Ostatni etap”. Zainteresował sfery filmowe tak

bardzo, że największe przedsiębiorstwo wynajmu filmów w Austrii „Sascha-Verlein” bez wahania godzi się na sprowadzenie także innych filmów polskich, ale na prawach wymiany. Wydaje mi się że chociaż austriacka produkcja filmowa jest raczej piętka, to przecież warto zakupić kilka przyjemnych, operetkowych filmów wiedeńskich, mimo że są przeważnie bardzo płytkie, skoro w ten sposób można otworzyć bramy Austrii dla naszych filmów. Po triumfie „Ostatniego etapu” powodzenie będą miały zapewnić, a wpływ na widzów niewątpliwie.

Popularyzacji kultury polskiej i zacieśnieniu więzi między oboma krajami poświęcony jest kwartalnik „Polonia”, wydawany przez Towarzystwo Przyjaciół Polsko-Austriackiej. Dotychczas ukazał się jeden numer (styczeńowy); zbyt oficjalny może i zbyt zimny, aby mógł mieć masowego odbiorcę, ale bardzo bogaty w treści i graficznie starannie opracowany przez Ottona Swobode. Zagadnieniami ustrojowymi polskiej demokracji zajmuje się w numerze Francuz Jean Baby, o polskiej literaturze powojennej informuje tłumacz polskiej prozy Jan Oskar Tauchinski, o polskiej muzyce kompozytor austriacki, prof. F. Wilgans, o warszawskich teatrach F. Bojarski. Przy artykule Guidona Holzera o Mickiewiczu Helena Lahr, świetna tłumaczka poezji polskiej, zamieściła doskonały przekład „Ody do Młodości”. W jej i Jana Wyplera przekładach ukazały się ponadto wiersze Jastruna, Leca, Przybosia, Broniewskiego i Ważyka. Mariusz Margal



I ja jestem Ameryką

Znakomity śpiewak murzyński Paul Robeson w czasie pobytu w Anglii, opublikował list do angielskich robotników pt. „I ja jestem Ameryką”. Oto kilka fragmentów z powyższego listu, którego pełny tekst wydrukowało czasopismo „Les lettres françaises”:

„Należę do tej Ameryki — pisze Robeson — która jest dzisiaj prześladowana, gdyż broni swobód obywatelskich i walczy o to, aby człowiek mógł żyć jak człowiek. To podstawowe prawo, które zostało zniszczone w Niemczech hitlerowskich, jest dzisiaj w Ameryce zagrożone.”

Jeśli zabraniają mi przemawiać na amerykańskich uniwersytetach dlatego, że jestem „nieamerykaninem”, jeśli prześluduje się najlepszych ludzi postępowej Ameryki za to, że podejrzewa się ich o przyjaźń wobec obcych państw — to oświadczam tym, którzy są odpowiedzialni za taką politykę, że oni wciąż jeszcze nie rozumieją, iż żaden naród nie może żyć tylko dla siebie i że każda nacja jest częścią całego świata. W Ameryce powtarzają nam bez przerwy, że należymy do świata zachodniego. Ośmielam się jednak zwrócić uwagę, że ten „świat zachodni” obejmuje również reakcję w Turcji i Japonii. Chciano mi udowodnić, że mój 21-letni syn ma takie same obowiązki wobec Ameryki, jak wobec zachodnich Niemiec, gdzie kwitnie faszyzm. Usiłowano mnie przekonać, że winniem służyć Ameryce, która wspomaga polityczkami Franco, która popiera grecki faszyzm i reakcyjną Turcję i która zamierza po raz drugi ograbić Afrykę.

Ja jednak należę do innej Ameryki. Nie chcę należeć do świata, do którego zalicza się Franco. Jestem po stronie republikańskiej Hiszpanii, greckich partyzantów i ludowych demokracji. Należę do tej Ameryki, która pragnie przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Jestem przyjacielem „narodu żydowskiego, a nie nafowych spekulatorów. Jestem przyjacielem nowych Chin, a nie nowej faszystowskiej Japonii. Ale i ja także jestem Ameryką”.

Gerhard Eisler kładzie się późno spać

Gerhard Eisler nie jest członkiem amerykańskiej partii komunistycznej, nie brał udziału w amerykańskim życiu politycznym, nie mieszal się do spraw wewnętrznych USA, nie zamierzał nigdy pozostać w Ameryce (gdzie został zatrzymany w przejeździe do Meksyku), nie popelniał w Stanach Zjednoczonych przestępstw karnych ani podatkowych. Jaką zbrodnię popelniał ten „wrogi Ameryki nr. 1”, że nagle wielkie mocarstwo uczulo się zagrożone w swoich podstawach działalnością tego niebezpiecznego człowieka? W pościgu za Eislerem Amerykanie puścili w ruch olbrzymi aparat: interweniował Departament Stanu, zawrzało w Departamencie Sprawiedliwości, zakotłowało w FBI (amerykańska tajna policja), popłynęły telegramy, telefon — słowem całe państwo stanęło na nogi. Dlaczego? Jakże przestępstwo popelniał Eisler? Odpowiedź na to pytanie znaleźliśmy, po

mieszkańców kładzie się spać z kurami, tylko jeden Eisler ośmielił się „późną nocą” przyjmować gości! Koniec świata!

Nieudany spektakl

Paryski Kongres Pokoju stał się solą w oku podżegaczy wojennych wszelakiego autoramentu. Pokój, wolność, postęp, wyzwolenie ludów kolonialnych, sprawiedliwość społeczna — wszystkie te niebezpieczne słowa wywoływały usprawiedliwiony niepokój ludzi, którzy obiecują sobie wielkie zyski po nowej wojnie. Zakrzętnięto się przeto rażnie w obziewie reakcji i postanowiono zorganizować konkurencyjną imprezę. W tydzień po Kongresie Pokoju zwołano do Paryża kontrkongres, w którym mieli, według zapewnien bulwarowej prasy paryskiej, wziąć udział „najwybitniejsi” intelektualiści, uczeni i artyści całego świata. Spektakl jednak nie udał się. Wielcy pisarze i uczeni stawili się tłumnie, ale o tydzień wcześniej i w sali Pleyela. Konkurencyjne przedstawienie „ausiało” się, zadowolili czwartorzędny zespolem sekcyjarzy i nieznanymi osobistościami. Publiczność również nie dopisała, zawiodła także reżyseria, która nie potrafiła zapobiec gwizdom i okrzykom protestu przeciwko amerykańskiemu delegatowi dr-owi Comptonowi, który gorąco bronił polityki atomowej USA. Żebw też tylko gwizdano i krzyczano! Kiedy delegat holenderski



przemawiał, sala ryczała donośnym śmiechem. Pan ten musiał wprawdzie przyznać, że wojna w Indonezji zasługuje na potępienie, ale za to plan Marshalla i pakt atlantycki — twierdził — naprawi wszystkie krzywdy ludzkości. Śmiechu było sporo. Nawet korespondent pewnej gazety amerykańskiej nie mógł postrzymać się od następującej wyliczanki: „Przemówienia kongresowe pełne były miłych banalności”.

Delbos i Majakowski

Nie ma szczęścia Majakowski do niektórych znawców poezji na zachodzie. Tego roku general Clay zabronił kolportażu jego wierszy w Bizonii, a ostatnio — jak donosi „Literaturnaja Gazeta” — zawził się na autora „Obłoku w spodniach” minister oświaty i Franku Delbos. W związku z dziesięcioletnią rocznicą śmierci porty Elza Triolet zamierzala wygłosić w Sorbonie kilka odczytów o życiu i twórczości Majakowskiego,



uzyskawszy na to uprzednią zgodę rektora uniwersytetu. W sprawie wniósł się jednak minister Delbos, który kategorycznie odmówił zezwolenia na wygłoszenie odczytów, nie podawszy uzasadnienia tego zarządzenia. A może minister Delbos żywi urazę do Majakowskiego, że pisał o nim: „Wzdłuż naszej ziemi, a i wokół, chodzą bardzo dużo wszelkiej kanalii.”

Z kroniki obłudy naszych czasów

W maju br. oświadczył minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, „towarzysz” z Partii Pracy i były przywódca związku zawodowego brytyjskich robotników portowych, E. Bevin, co następuje:

„Jestem robotnikiem a nie wyzyskiwaczem! Wielka Brytania przestała być „rasą imperialistyczną”. Nie ucielamy nikogo, Jesteśmy zwolennikami równouprawnienia religijnego, rasowego i politycznego”.

Anglia leży blisko, w Europie. Wzruszające słowa Bevina dotarły do nas szybko. Kolonia i dominia brytyjskie są od nas bardzo oddalone, ale nie tak bardzo, ażeby nie docierały stamtąd wieści. Na przykład Malaje. Na półwyspie Malajskim toczy się krwawa wojna, pardon, „akcja polityczna” — jak to mawiają Anglicy, którzy przestali być „rasą imperialistyczną” — w obronie kauczuku i cyny. Według oficjalnych danych brytyjskich, w których Bevin jako urzędujący minister rządu brytyjskiego zapewne wie, koszt tej wojny pochłaniają dziennie 31 tys. funtów szterlingów. Wydatki na ten cel w r. 1949 podwyższono do 5 milionów f. szt. a na rok 1950 — proszę, proszę, Anglicy mają również swój plan gospodarczy — przewidziano nawet sześć milionów.

W malajskich obozach koncentracyjnych siedzi 7 tysięcy „równouprawnionych” przez Bevina Malajczyków. Ostatnio wywołano 75 Malajczyków kalkowiec od wyszoku imperialistycznego, t. j. powieszono ich. Wiele wiosek malajskich również zrównano, ale z ziemią. Bevin realizuje konsekwentnie swoją deklarację.

Zapowiedź nowej jery

Amerykańskie czasopismo „Readers Digest” jest rzeczniczem ery atlantyckiej, rozliczając w każdym numerze wspaniałe perspektywy nowej epoki. Kto ciekaw, jak będzie wyglądała przyszła era, niech zajrzy i przeczyta:

„Jest rzeczą logiczną, że prawdziwa potęga lotnicza musi dysponować lotniczą bronią o takim zasięgu działania, aby można z własnym kontynentu rzucić nieprzyjaciela. Bomba atomowa, podobnie jak każdy pocisk wybuchowy musi — aby wyrzucić należyty skutek — być w odpowiednim momencie wymierzona do nadejdanego celu, i to przy pomocy wielu i różnych rodzajów broni. Naród, który pierwszy przystępuje do międzynarodowej wojny lotniczej, wygra następną wojnę”. I tak w każdym numerze

rk.

TREŚĆ Nr 22

Aleksander Puszkín — Eugeniusz Oniegin; Samuel Fiszman — Listy Adama Mickiewicza do Piotra Wiazemskiego; Leon Gomolicki — Aleksander Puszkín; Aleksander Puszkín — Noce Egipskie. (W przekładzie Seweryna Pollaka); Aleksander Puszkín — Wiersze w przekładach Mieczysława Jastruna, Seweryna Pollaka, Włodzimierza Słobodnika; Adolf Sowiński — Spojrzenie na prozę Puszkína; Zofia Lissa — Puszkíniana Muzyczne; Aleksander Jackiewicz — Zapiski D'Archiaea; Zbigniew Mitzner — Sprawa dzieci; Karol Piękoś — Na koronę potrójną papieża; Varia puszkínowskie; Przegląd prasy; Noty.

Powojenne drogi literatury niemieckiej

(Dokończenie ze str. 7)

nich czterech latach z rosyjskiej literatury zbiorowe wydanie Puszkína, Lermontowa, dzieła Gogola, Niekrasowa, Turgeniewa, Lwa Tolstoja, Czeszowa, Gorkiego, Szolochowa, A. Tolstoja, Ehrenburga, Fedina, Simonowa, Gorbatawa, Gładkowa, Pawlenki, Panowej itd. Z francuskiego przetłumaczono rzedz Eluarda, Aragona, Vercorsa, Cassou, Claude Morgana, Rollanda, z literatury amerykańskiej powieści Sinclaira, Londona, Fastá, Maltza, Caldwell. Ukazały się również przekłady z czeskiego, natomiast polskich książek dotychczas nie tłumaczono. Nie posiadamy niestety dobrych tłumaczy, którzy by nam udostępniłi polską literaturę klasyczną i dzieła współczesnych autorów. Niemniej pierwsze lody są przełamywane i w najbliższym czasie ukaza się u nas

m. in. przekłady Andrzejskiego: „Pociąg i diament” oraz „Koniec Europy” Mirosława Żulawskiego.

A teraz — kończy Stefan Hermlin — kilka słów o Polsce. Jestem w waszym kraju po raz pierwszy i to zaledwie od trzech dni. Warszawa wywarła na mnie wstrząsające wrażenie. Byłem niedawno w Czechosłowacji, gdzie widziałem Lidice, ale stolica wasza to ustokrotnione Lidice, to obraz zniszczenia, które można pojąć tylko po ujrzeniu go na własne oczy. Wszelako jeszcze większe wrażenie wywarło na mnie tempo odbudowy miasta, świadczące o niespotykanej energii i rzutkości. My Niemcy powinniśmy pod tym względem wiele uczyć się od was.

Rozmowę przeprowadził Roman Karst



dlugich poszukiwaniach w „New York Times”. Przeczytaliśmy tam, że Gerhard Eisler był osobą wiele podejrzaną, ponieważ „sąsiedzi opowiadali, że odwiedzali go goście późną porą nocną”.

Nareszcie została wyjaśniona tajemnica. W mieście Nowy Jork dwanaście milionów

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 12a (Frascati 1) pokój 413 IV p. tel. 4-01-80, w. 45. Adres administracji Wiejska 12.

Warunki prenumeraty: Miesieczna zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półroczna zł 480.—; rocznica zł 960.— Należność za prenumeratę należy wpłacać do PKO I 10900. Adres prenumeraty: Warszawa Plac Trzech Krzyży 16.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5

B-79115